



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY”

(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnośnieniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5. Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu. Rękopisy drobne nie zwraca się.

Przedpłatę przyjmuje: Administracja Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory prasy peryodycznych.

Sprzedżę pojedynczych numerów 20, w Warszawie w Administracji prasy i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ. *Polityka* Doroczne odwiedziny. — Tydzień polityczny. — Życie społeczne: Z Niemiec p. Jana Karłowicza. — Powieści: Przeglądnęta struna I. — Sprawy ekonomiczne: Projekt ustawy w sprawie rzemieślniczej p. F. — Rolnictwo we Francji p. E. P. — *Badań naukowe*: Filozofia gustowska p. Cesarza Jelenia. — *Cudzoziemcy* p. B. — *Literatura i sztuka*: Plan konkursowy II. p. L. — *Chwała jęzika* p. Henryka Bęglejczaka. — *Fajfajki*: Liberum veto p. Posła Prawdy. — Na widokrepu p. Nieborzkiego. — *Prasa rosyjska*. — *Kronika białąca*. — *Ofiary*. — *Ogłoszenia*.

POLITYKA.

DOROCZNE ODWIEDZINY.

Trzeba się zgodzić z organem stażczyków krakowskich, że odwiedzanie ks. Bismarka przez hr. Kalneko jest „rodzajem serwitutu dyplomatycznego, do którego świat polityczny przywykł, a który trwać musi prawdopodobnie aż do chwili wielkiej likwidacji europejskiej. Przestał on być już zdarzeniem doniosłym od czasu, jak się stał chronicznym... Biorąc rzeczy spokojnie, trzeźwo i praktycznie — mówi ten dziennik — zjazd obecny przedstawia się jako dalsze a systematyczne wykonanie przepisów higienicznych, mających na celu utrzymanie pokoju europejskiego, podobnego do owego chorego, co ani umrzeć, ani żyć nie może. Recepta główna — to dobre porozumienie między Niemcami i Austrią; mikstura ta, którą pacyent zażywać ma raz na rok po łyżec stołowej, nazywa się: narady między hr. Kalnokym i ks. Bismarkiem, tym razem odbywające się w słynnych wodach Kissingen, zamiast, jak dawniej, na świeżym powietrzu w Wardzynie...” Tak jest.

Europa przybrała dziwną postać: wygląda jak wielkie biuro policyjne z mnóstwem wydziałów i naczelników, którzy w pewnych terminach lub w miarę potrzeby składają raporty swemu dyrektorowi i odbierają od niego rozkazy. Do tego wszechwładnego człowieka przybawiają również dostojni interesanci z prośbami o pomoc lub radę. On wszystkich traktuje z góry, nie zadaje sobie nawet trudu po zostawiania w miejscach urzędowym, lecz mieszka na wsi, w dobrach swoich i tam musi przyjeżdżać każdy, choćby najwięk-

szy, kto pragnie lub potrzebuje z nim rozmawiać. Jednym z naczelników wydziałowych tego biura jest hr. Kalnoky, austriacki minister spraw zagranicznych, który w lecie obowiązany jest stawić się tam, gdzie jego wielki zwierzochnik przebywa — na wsi lub w wod. Tego roku wyznaczono mu przyjęcie w Kissingen. Z osem on podążył? Z naszymi, ktorými naczorpie „instrukcyj” i wiedzy, jak ma nawa państwa sterować. Gdyby te odwiedziny nie powtarzały się stale, gdyby one — jak powiada *Czas* — nie stanowiły „serwitutu dyplomatycznego,” możnaby nasłuchiwać lub stukać w palece dla odgadnięcia ich przyczyny. Ale jest to coroczna wędrówka, która już nawet spowieszczała. Geograficznie Austria przedstawia morarstwo samodzielne, politycznie — prowincję pruską, taką, jaką była względem Rzymu Hiszpania lub Grecya. Hr. Kalnoky, jadący do Kissingen, to nie minister odwiedzający równego mu ministra, ale podwładny wzywany przez zwierzchnika. To ustosunkowanie ról nie wydaje się przesadnem nawet prasie austriackiej, nisko schylającej głowy przed swym rządem, do której należy również *Czas*. Uznano fakt naprzd za konieczny, wreszcie za naturalny i już ledwie nieokielznana opozycja lub umysł z po za koła polityków zawodowych śmiały urągać temu „serwitutowi.”

Cesarz jednak gazety tak zwrociły swo lunety na Kissingen i poleślowkami drańnią ciekawość społeczeństw? Lipiec — pora martwa, wyjąłwiona, nierodząca wawnych wypadków. A czytelnik musi mieć codziennie świeże nowalce. Nakarmia się niemni a spozostrogłszy, że jadł rzeczy nikle, przebaczy dostawcom względności dla omyłek ludzkich i wspomnieniami przyjemnego smaku. Trudno nawet orzec, co srobiłaby dzienniki polityczne w lecie, gdyby dyplomaci i monarchowie nie spotykali się

w wod. Jedyną źródło wyschłoby zupelno a koła mlynów musiałby stać. Należy więc podziwiać — jak kto chce — albo mądrość natury, albo dobroć Opatrzności, albo miłosierdzie ministrów.

Do podocenyia obaw w największej ciessy materialny nigdy nie brak. W Anglii rządy przeszły do rąk konserwatywów, nieprzyjaciół Rosji a sprzymierzeńców ks. Bismarka. Wo Francji przy odkryciu pomnika dla gen. Chanzego mówiono głośno o sojuszu francusko-rosyjskim i wolano: „niech żyje Rosya” a jednocześnie minister wojny posunął kilka korpusów ku granicy wschodniej i dał dowódcom zapieczowane polecenia. Port wolny w Batusie zniesiony, książę bułgarski ani myśli poddawać się „woli Europy” i zachuje dalej, król serbski w mowie tronowej wywrócił kosiołki, ktorým się odsunął od Austrii itd. — słowem nie brak drażnag na ogień, jeśli ich ktoś szuka i potrzebuje. Z tych drażnag bucha pomyk pogroźek wojennych, który przewija się między wierzeniami artykułów dziennikarskich. Maluzko, a zgaśnie on niewątpliwie. Gdy minister spraw zagranicznych p. Giers odwiedzi również ks. Bismarka w Kissingen, a arcyksiążę Karol Ludwik z małżonką dwór petersburski — gmschy z kart, na ktorých powiewa alarmująca chorągiew, runą.

Z drugiej strony chorągiew ta, niezdje-mowana od lat 15, t. j. od czasu nadmierne-rogo rozdęcia się Prus, jak również obawy, biegnące za pielgrzymkami, jadącymi do dyplomatycznego papieta po błogosławieństwo, okroślają wybornie ciekawość włoską, na ktorým wisi pokój europejski. Co to za straszne życie a taką niepewnością jutra, z takim przewidzieniem, że losy narodów cywilizowanych zawisły od jednej pogadanki kilku ludzi w wod, właściwie od jednej woli srogięgo starca! Miliony ludzi myślą, pracują, czują, stawiają

sobie cele i ideały, naraz wszystko to jednemu słowem zburzyć może ona niszcząca wola i cisnąć na świat burzę i pioruny. Zdawałoby się — i nawet tak zwykliśmy mówić — że równoważą życia zbiorowego jest wypadkowa jego sił, tymczasem Europa, mimo innych pozorów, nie wyszła dotąd z okresu gospodarstwa samowoli je jednostkowej. Czy ona ma istnieć w dużej ciszy, czy oddychać swobodnym powietrzem, czy mieć spokój, czy podrzeć się własnymi rękami — to zależy nie od niej, ale może od kilku grudek soli kissingenskiej, od kilku komórek w mózgu jednego Niemca!

Jak wobec ciężko chorego zapytujemy nieraz, na czym właściwie trzyma się jego życie, tak samo pytamy, na czym trzyma się obecny pokój europejski — i nie znajdujemy innej odpowiedzi nad tę, że jego oporą jest wyłącznie trójcesarskie przyzorz. Bez tego związku „koncert europejski“ nie grałby nawet fałszywie ani do by. Pojmuję to kanclerz niemiecki i po nim zbroń wahań jego polityki porusza się ciągle na tej stałej osi. Dopóki zaś ona nie pękła, możemy być pewni, że zgar Europy wazany będzie godziny pokoju, bez względu na to, kto pojedzie do Kissingen lub Wardyzna.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Jak to łatwo było przewidzieć, Salisbury stanął na czele nowego gabinetu angielskiego i oddał wszystkie prawie teki tym samym osobistościom, które w r. z. podczas rządów zachowawców już je piastowały. Hartington, któremu okarowano godność pierwszego ministra, nie przyjął tej propozycji, zobowiązał się jednak popierać gabinet pod warunkiem, że bez uprzedniego porozumienia się z umiarkowanymi liberalami, rząd nie uczyni żadnych kroków w sprawie irlandzkiej. W polityce zagranicznej zmiana gabinetu nie zdążyła się jeszcze odbić, chociaż tu właśnie skutki jej mogą być najbardziej dostrzegalne. Odroczenie regulacji granicy afgańskiej i przypisywany Rosji zamiar zajęcia portu Kazań w Korei, nie są rezultatem zmiany

rządu w Anglii, ale zmiana ta wpłynęła bezwątpienia na przebieg tych wypadków.

Dziennikarze starają się teraz odgadnąć, o czem Bismark mówił z Kalanokw na zjeździe w Kissingen i o czem mówił będzie z p. Giersem, który go również w tych dniach odwiedził. Gazety urzędowe powtarzają zapewnienia przyjaźni, ale niktyleko niezależne, lecz i półurzędowe nawet nie lękają się tymi pozorami. Wielkie manewry, które odbyły się mają w końcu lat i przedstawił niby generała próbę wojny z „przyjaciółmi.“ nie są bynajmniej objawem, wrócićmy pokój. Dla manewrów tych wybrano właśnie prowincję pograniczną, w których nastąpi kiedyś tak długo odraczane spotkanie. Nawet Bułgaria powołuje rezerwy i urządza także wielkie manewry — na małą skalę. Istnieją wszakże i objawy uspokajające, jak np. wspomniana podróż p. Gierza i odwiedzenie dworu rosyjskiego przez arcyksięcia Karola Ludwika.

Niemcy, które czują się uchem strzygą na najmniejszy szmer w sąsiedztwie zachodnim lub zachodnim, ganiącą się teraz na francuzów za to, że przy odsłonięciu pomnika dla Chanzy jego, urządzili owa- cye generałowi Frederikowi, pełnomocnikowi wojennemu rosyjskiemu i wydawali okrzyki na cześć Rozy.

Rząd francuski jest teraz w kłopotcie, ponieważ wielu ambasadorów i członków poselskich podał się do dymisji z powodu wydalenia księząt. Kandydatów nie brak wprawdzie, ale niema pomiędzy nimi osób odpowiednich do zajęcia stanowisk, które wymagają pewnej rutyny dyplomatycznej.

W Amsterdamie w ciągu dni kilku trwały zaburzenia, które nazwać można prawdziwą rewolucją. W ostatnim miesiącu agitacja socjalistyczna w Holandyi zaczęła występować otwarcie i przywódcy partii ludowej starali się wywołać rozruchy. Policja, jak zwykło, dopomogła im do tego. Bez żadnego powodu władza zabroniła obchodu święta narodowego, zakaz ten oburzył ludność Amsterdamu, na ulicach wzniecono barykady, zaczęły się bitwy z wojskiem i policją, które trwały dni dwa i skończyły się „zwycięstwem porażki.“ okupionem jednak dość drogą. Nie wiadomo jeszcze, czy sprawa skończy się na tem, socjaliści bowiem zapowiadają zwołanie wielkiego zgromadzenia ludowego, które policja ze szkodliwymi podobieństwem rozpędzi, co da znowu powód do walki ulicznej.

Burzą się nie tylko flagmatyńscy holendrzy, ale i spokojni duńczycy. Prezes polkotingu Berg, wypuszczony został z wię-

zienia, w którym spędził sześć miesięcy. Dla uczczenia uwolnionego męsa stanu, zwołano wielki wiec ludowy, na którym Berg gwałtownie przemawiał przeciw rządowi.

O sprawie baltuskiej — cicho, utonęła ona w zapomnieniu, z którego jednak w odpowiedniej chwili z pewnością wypłynie.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z NIEMIEC.

Drezno, lipiec, 1886.

I.

Wakacje. — Jubileusz heidelberski. — Matrikuly Tópkego. — Polacy w Heidelbergu. — Zjazd orientalistów w Wiedniu. — Miłyng dresdeni. — Kamienie i mumię przemawiają. — Becki z klaszaru rzymskiego. — Sezostrys jak wygląda?

Kto żyje, jak my, w „wielku norwim.“ musi przedewszystkiem pomyśleć o wypoczynku. Właśnie teraz nadchodzi chwila jego: po długich zimnach i deszczach słońce i ciepło zabłysły; każdy śpieszy wysuszyć się, ogrzać i odpocząć; jedni dają na wieś, inni na przedmieścia, szczęśliwi do Szwajcaryi. Ale i wśród tego mniemanego wypoczynku różne pokusy pociągają do szukania nowych wrażeń. Jedni puszają się nad smutnej pamięci jezioro bawarskie, aby się przyjrzyć tłu niedawnej katastrofy; inni zdążają do Bayrouthu, gdzie Parsifal i Trystan wabia czarom dziwnej swej muzyki; są i tacy, co nie mogą pierwój być obojętnymi w Berlinie na otwarcie wystawy malarstwa, piszą tam chod w upały, aby się przekonąć, że palma pierwoczeństwa w sztuce malarstwa historycznego ten raz zdobył Matejko; a kogo dawno wspomniania wiąza z waznacką heidelberką, ten się wybiera na 2 sierpnia nad Nekar, bo tam uroczyste obchodzona będzie pięćdziesiątletnia rocznica założenia uniwersytetu.

Łęczę i nas z nim starszo i nowszemu wspomnienia. Ze święto ogłoszonej przez Tópkego matrikuly tej waznackiej (dotychczas od r. 1866 do 1862, dwa grube tomy) wiadę, że polaków do połowy XVII wieku uczyno się tam do exteroheist; następne tomy okażą, że i później, szeregol-

— Do widzenia, matczoko.

— Do widzenia, mój Jerzy, do widzenia.

Młodzieniec wskoczył do wagonu. Rozległ się świąt lokomotywy. Pociąg ruszył majestatycznie, pozostawiając za sobą obmurę dymu i pary. Staruszek stała dłużej na platformie, uśmiałojąc się do młodzieńca, który z okna wagonu przyszył jej od nosi paluch.

Jerzy odwrócił się od okna i spostrzegł, że nie był sam. W drugim końcu wagonu siedziała kobieta. Na ciemno-purpurowym tle akademitych posłuszek wagonu rysował się profil uderzającej piękności, jak pompojadka kamea, odskakująca wybitnie od ciemnego tła medalionu. Małchkie, rozehylone ustaćka ukazywały szereg perłowych żąbków. Nosek, jak z marmuru wykuty, o silnie rozdytých nozdrzach, dowodził temperamentu namietnego. Zwój kruczých włosów okalały twarzokę, harmonizując z nieposłuszkowanej przeszercozności cery, jakby przyściomniona od silnych promieni słońca, cera właściwa namietnym mieszkancom okolicy Raymu. Eleganckie ubranie uwydatniało wspaniałą budowę ramion i piersi, wznoszących się z oddechem i opadających łagodnie, jak fa-

la uokiekająca i powracająca znowu, kołyszana lekkim podmuchem wiatru...

Zławala się marzyc rozkoszności... Promienie słońca, wpadające przez okno wagonu natrętnie, uderzały ją prosto w oczy. Odwróciła głowę i, przylatując pięściwie twarz do poduszki ruchem leniwym i miękkiem, starała się uinąć palących promieni, jak dziecko, tłućąc się do piersi matki, a szukające dogodniejszej dla drzemki przeyzi.

Natury wrażliwe przed Muchową Syktyńską stają w niemym zachwycie nad tą, jak ją ktoś nazwał, przeocną Wenerą chrystyanizmu. Z oddechem zapartym, wpatrując się w ideal harmonii i wdzięku, zapominając o idei, podziwiają kształty. Jerzy opisał się na poduszki wagonu, podpart głowę na rękę i ukłwił w nią warok uparty, przejęty podziwem. Spotykał setki kobiet uroczych i pięknych, a jednak żadna nie pochłonięła go tak zupełnie, nie przykuwała go tak do siebie. Odezwali się w nim uczucie jakieś, co spało dotąd: dobor naturalny, niewyrozumowany, co sprawa, że z tysiąca kobiet wybieramy jedną i mówimy: „ta — lub żadna.“ Omił, że po linii wzroku kobieta tu wchodzi w jego

1)

POWIEŚĆ.

PRZECIĄGNIĘTA STRUNA.

I.

— Tak, matczoko, opuszczę się na trzy dni. Jadę i wracam, aby cię ucałować. Za miesiąc biorę urlop i znowu spędzimy razem kilka tygodni. Od powrotu z zagranicy za ledwie lat parę mogę ci dorować. Zajęcie moje wymaga ciągłego pobytu w Warszawie, a wiesz, matczoko, jak ci świeżo powietrze służy. Nigdybym nie pozwolił, abyś się dusiła w mieście w ciągu letnich miesięcy. Przez tyle lat poświęcałam się dla niego, teraz odpoczywaj musisz.

— Pociąg do Warszawy odchodził — rozległ się głos woźnego kolejowego.

Dzwonek zadźwięczał trzykrotnie. Na platformie stacyi X. wysypali się pasażerowie, jak pszczoły z ula. Mała stacya ożywiła się na parę minut, aby znowu zapadł po chwili w stan ciszy i spokoju.

nie wbiegaćm stuleciu, bawiła tam na naukach wielka liczba rodaków naszych.

W pierwszym roku po otwarciu szkoły znalazł się w niej jeden, jak się zdaje, polak, niejaki Jan Textorius (sya tkaczu) z Gury (dzisiejsze Gubrau, pod Wrocławiem); w następnych latach kilka jeszcze nieznanych skądinąd imion polskich tam spotykamy; lecz później, przez ciąg XV wieku, nie wiada żadnego; nie dziw, bo od początku wieku XV Polska posiada własną już wszechnię w Krakowie, a kto pragnie poznać nauki zagranicą, ten wóli jechać do sławnych naówczas szkół włoskich.

Dopiero od połowy w. XVI ilość polaków w Heidelbergu warstaa nagło i dochodzi w pierwszej ćwierci w. XVII znacznych rozmiarów. Uniwersytet tamtejszy stał się właśnie w drugiej połowie XVII stulecia jednym z europejskich ognisk kulturalnaw; młodzież polska, należącą do domów protestanckich, szukała za granicą wyższych szkół nowowierczych, bo tych w kraju nie było; mnożono więc naszych udawało się do Lipska, Heidelbergu, Bazylii itd. To też w matrykale heidelberskiej spotykamy imiona wielu walswionych potem u nas ludzi, oraz licznych synów najpierwszych naszych magnatów; dość wspomnieć Jana Łuskiego, Stanisława Zawadzkiego, Tomasza Węgierskiego, Piotra Siestrzencewicza, Marka Sobieskiego, Firlejów, Ostrorogów, Sieniutów i wielu innych.

Ala nie same tylko imiona zamieszcili Topke w swoich wypisach z akt warchniczy; są tam gdzieindziej ciekawe wzmianki o zajęciach pomiędzy młodzieżą naszą a miejscową, o różnych odnaceńniach i wybrakach rodaków naszych, o wysokiom poważaniu, jakie w Heidelbergu posiadali Radaświłł i Firlejowie, kiedy jednego z nich około r. 1603 zamierzano obrac rektorem; szerepuje ramy listów domów nie pozwalają mi przedstawić całego a dość zajmującego zasobu, wysnuć się dającego z dotychczas ogłoszonych matrykul; nie zaniedbam gdzieindziej wyczerpującego materiały to zestawić.

Dochozą mi wieści prywatne, że uniwersytet krakowski, wbrew poprzedniemu zamiarowi swojemu, nie wysłał delegacji na obchód heidelberski. Szkodzi! Zdaniem mojem wypadłoby to uczynić, choćby dla tego, żeby okazać iż umiemy odróżniać neutralne pole nauki od zatargów życia codziennego i czuć wdzięczność za przytułek i światło, gościnie udzielane niegdys naszym rodakom pod skrzydłami wszechwładzy Palatynatu. Ale to byli here-

tycy!... To prawdopodobny powód zmiany zamiarów arakowskich. Czy i Lwów nie da znaku życia?

Tymczasem Heidelberg gotuje się na przyjęcie licznych gości: urządził ma pochod pocięciu wielkim, wyrażonych symbolicznie głównymi osobistościami, które mniej lub więcej miały styczności ze szkołą główną; będą akta uroczyste, mowy, niebędne w takich razach ucsty, piątyki, przechadzki lądem i wodą, wycieczki; będą teatr, dno muzyki; rozsada sporo dyplomów doktorskich *honoris causa*; wydrukuje się kilkadziesiąt brosur i książek na hoc; wyjdzie kilka numerów dziennika ilustrowanego z odpowiedniami wierszami, artykułami itd. W następnym liście moim postaram się opisać te festyny, bo, jako stary student heidelberski, czuję się obowiązany bierny przynajmniej w nich przyjąć udział.

Na koniec września zapowiedziany jest zjazd wschododniawców w Wiedniu; będzie to z kolei siódmy; szósty odbył się r. 1833 w Lojdzie. Tegoroczny zapowiada się dość świetnie.

Bądź co bądź, odbędzie się on z pewnością pomyślniej i spokojniej, nieli zwołany tutaj w Dreźnie przed kilku dniami mityng socyalno - demokratyczny. Posel berliński Hasenclover mówił na nim całą godzinę o ruchu robotniczym w stosunku do świeżo uchwalonych ustaw sejmu raszy (było tam przeszło 2,000 osób). Prawiby on zapewne dalej; ale gdy zaczął osz krytykować rozporządzenie o bezroboćnich ministra Puttkamera, komisarz policyi rozwiązał zgromadzenie. Przybrało ono skutkiem tego groźną postawę, głośno okrzykiwało mowę i niechętnie się opuścane; nie obeszło się bez ofiary, tym razem jednak nie była ona krwawą; padł jeden tylko... piec, obalony przez tłoczącą się u niego publiczność.

Ze niektóre okolice Niemiec, a w szczególności tenczej i lipskiej, słyszą od czasu do czasu podziemne huk i wulkaniczne socyalizmu, to nie jest dla nikogo tajemnicą. Czy i kiedy wybuch nastąpi, o tem oczywiście wie tylko muza historii, która niedawno zapisała na tablicach swoich krwawo rozruchy belgijskie.

Tymczasem jednak, dopóki „porządek” panuje, z wnętrza ziemi i z otchłani piramid wizerają spokojne duchy przeszłości. Przybywają codziennie nowe odkrycia zabytków dziejowych, posługujące mową kamieniami skape wskazówki książkowe.

O niesmiernie ważnem odkryciu ogromnego napisu na płytach jakiegoś amfiteatru na Krecie musiał już czytnik mój

czytać lub słyszeć; przypuszczam że wie także o znalezionych w Paryżu ułamkach prozy łacińskiej, przypisywanych Salustyzowski; do najnowszych należą słupki mławowe w Moguncyi i obnażenie mumii prastarych królów egipskich.

Ze olbrzymie palo, które podrzymywały mosty zymski na Renie, przotrwały w wodzie do naszych czasów, to jeszcze nie zdziwi nikogo; ale to trochę zgorzą, że popołowane ja na klepki i porobiono z nich beczki na wino reńskie. Doprawdy, bez dwuchbańca powiedzianej można, że chybca bednarzom tym klepki brakowało...

O zbadaaniu trzech nowych mumii w Kairze przynosi wiadomość jeden z ostatnich numerów tygodnika angielskiego *Academy* (z 3 lipca). Podają ją w postaci obszernego protokołu, spisane go urzędowo i czerwca przez prof. Maspero, dyrektora sławnego muzeum w Bulaku.

Oddawna już domyślano się w trzech niezbadanych jeszcze mumiach znaleźć ciała króla Ramsesa II (Soosytresa) i królowej Nofritari, żony Abmosa I; narodziło na 1 czerwca naznaczone dowodne przekonanie się o tom. Dnia tego, w sali „mumii królewskich,” zgromadzili się znakomici egipscy, pomiędzy niemi wiec-król i Brugsch-bej; Maspero przystąpił do zbadania szczątków, zachowanych od lat przeszło 3000.

Pierwsza mumia okazała się istotnie ciałem Ramsesa II. Twarz jego zachowała się wyborne, nawet włosy na głowie nie uległy zniszczeniu. O rysach jego tak mówi Maspero: wyraz twarzy nie bardzo młody, trochę nawet zwierzęcy, z wyraźnami znamionami pychy, uporu i bezgranicznej samowoli; budowa ciała olbrzymia, okazująca wychudłego ale krzepkiego starca.

Przy otwieraniu drugiej mumii, spotkali widoczny zupełny zawód; po rozwinięciu powiązków, ciało w niej zawarte rozłożyło się tak szybko, że nie prócz łupy czarnej zgnilizny i strasznego fetoru po niem nie zostało.

Trzecia dostarczyła też licznych wrzazów. Myślano, że się okaze w niej ciało królowej Nofritari; spodziewano się że autopsya przekona, czy była muryzanką, czy też egipską, o co oddawna się sprzeczało. Tymczasem okazało się, że to nie ona, lecz następcza Ramsesa II, Ramses III. Twarz jego, jak mówi Maspero, zdaje się bardziej inteligentną i delikatniejszą od tamtego; całe ciało mniejsze i szczuplejsze.

krów i duszę, bierzcie go w posiadanie, ujarzcie bez walki.

Nagle dał się słyszeć gwałtowny. Pociąg, pędzący z przeciwnej strony, jak bestya apokaliptyczna przeleciał, świeżąc przerażeniaw. Kobieta, przebudzona ze snu, przerażona i wylekła rzuciła się przed siebie, a chwytając bezwiednie rękę Jerzego w swe drobne dłonie, posłała wzrok przerażony w stronę przyczyni przerażenia. Po chwili przyszła do siebie i zwracając na Jerzego swe czarne, wilgotne, aksamiennie oczy, zmieszana swem położeniem, zapłoniła i drżąca jeszcze — cofnęła rękę, wołając:

— Ach!.. panie!.

Jerzy uśmiechnął się mimowoli.

— Ależ to nie... niech się pani nie obawia; pociągi się mijają... widocznie byłaś pan w głębokim śnie pograżona.

Piękna nieznajoma przechodziła powoli do siebie.

— Jeszcze mi serce bije... co za straszny hałas!.. — mówiła, poprawiając maleńką rączką nieład we włosach i ubraniu — tak, zasnęłam... z nudów... od granicy sama jedna siedziałam w wagonie. Potrząsnął mi pan torbórkę... tak... dziękuję. Szukam wody kolonjskiej... ach... pozwól pan; skropię

panu ręce, musiałeś się także dobrze przestraszyć... Zdawało mi się, że się pociąg rozbił. Ależ nie uważałam, kiedy pan wsiadał...

— W X.

— Al!.. ależ to długo spalam. Doprawdy, będzieś się pan śmiał ze mnie; musiałam ładnie wyglądać, szukając w przerażeniu pańskiej opieki. Już drugi dzień jestem w drodze, nie dziwnego, że zmęczona zasypiam co chwila... radabym w jednej chwili dostać się do domu. Co za szczęście, że już niedaleko. Pan do samej Warszawy jedzie!

— Tak, pan. Mieszkam tam stale.

— A... więc w X. masz pan znajomych tylko?...

— Matko.

— Matko, która pana kocha, rozumie się...!.. Mój Boże, co za szczęście mieć jeszcze kogoś, co nas kocha bezinteresownie. Ja bo nie mam nikogo. Odpalasz się też pieknom za nadobne; kocham tylko moją papugę i zdaje mi się, że ona także przywiązana jest do mnie. Niestety, kiedy muśm nie potrzebnie, gryzie niezmordownie!

Sześciolatka jak ptaszę wśród zielonej gęstwiny, napawające się wonią wody kłósej, lub chłodząc wachlarzem piękną

twarz, zarumienioną od snu i świeżo odbranego wrażenia, wdyhująca pełną pierśią powiewa, przesyconego zapachem siano, kwiatów, lasów jodlowych i świeżo żarzonej ziemi. Rozmawiali o wszystkim i o niczem, przeskakiwali z przedmiotu na przedmiot, jak motyle z kwiatów na kwiaty. Pociąg pędził i huczał: przystawał na stacjach i lociał dalej. Powóz rzucał się w prawo lub wlewo, porwany równomiernie uderzeniami pary. Ciężkie, gorące powietrze lipcowego wieczora upajało i wprowadzało ciało w stan pół-snu, pół-jawy — stan, w którym sądzimy powierzchniowo o przedmiotach, nasuwających się oku, kiedy się vegetuje, lecz nie myśli; sądzi — nie rozumując; a piękna kobieta, siedząca naprzeciwko, odurza smysły, pociągaa, otacza słońca pajękacą swych wdzików system nerwowy, porusza wszystkie włókna ciała, usypiając władze rozsądku i umiarkowania.

Pociąg dochodził do kresu podróży. Stacyja zdaleka jaśniała setkami reflektorów, pełna oczekujących na przybyłych. Kobieta powstała i skłoniwszy się Jerzemu głową na pożegnanie, wyjrzała przez okno wagonu. Jerzy doznał wrażenia bólu i tęsknoty na myśl, że to jawisko, upokane

Obie te mumie wystawione odstęp będą z twarzami obnażonemi, pod szkłem, w sali muzeum kairskiego.

Jan Karłowicz.

SPRAWY EKONOMICZNE.

PROJEKT USTAWY RZEMIEŚNICZEJ.

Jeszcze w 1884 r. Towarzystwo popierania przemysłu i handlu przedsięwzięło zbadanie naszych stosunków rzemieślniczych i w tym celu rozeseła kwestionaryusz, na który odpowiedzi dostarczyły między wskazywek co do środków usunięcia jakiegos tajemniczego „zła, trapiącego rzekomo dzicelnictwo krajowe” i podniesienia przy tej sposobności stanu rzemiosł.

Jeżeli sprawa podniesienia rzemiosł miała być celem głównym tej „ankiety”, to należało przedewszystkiem poznać stan ich obecny. Nie uczyniono tego jednak, kwestionaryusz zaś ułożono w ten sposób, że raptywani majstrowie, oceladnicy i osoby „znijmujące się losem rzemiosł” wydawali sądy w sprawach gospodarstwa narodowego, polityki ekonomicznej, prawodawstwa nawet, t. j. mówili o rzeczach, które obchodzić ich mogą, ale w których nie są chyba biegłymi. Zadania, wyrażone w odpowiedziach, sprawdzić się dają do 4 punktów:

- 1) Wyższe wykształcenie fachowe i ogólne rzemieślników.
- 2) Silniejsza spójnia związków między nimi.
- 3) Zabezpieczenie bytu w razie choroby i na starość.
- 4) Dogodniejszy i szybszy (?) wymiar sprawiedliwości w sprawach ważniejszych stosunków między rzemieślnikami.

Dla rozpatrzenia tych zadań wybrano delegację, złożoną z 17 osób, między którymi znajdują się i ekonomisci, i przemysłowcy, i wreszcie rzekomo dzicelnicy, a raczej właściciele rzekomo dzicelnictwa. Zachowano nawet względy przyzwoitości i wyzwano do nad rzekomo dzicelników, ale, rozumie się, głosy ich brano tylko „pod uwagę”. Delegacja po pewnym namyśle doszła do przekonania, że „przy obecnym układzie stosunków państwowych i społecznych” podniesienie rzemiosł, z zachowaniem warunków wyżej wskazywanych, za się jedynie skutecznie za pomocą wprowadzenia obowiązkowych stowarzyszeń, opartych, na istniejących

dotychczas „zgrupowaniach rzemieślniczych”, które uleść powinny wszelkie gruntownym zmianom. W rezultacie zaś zmiany te polegają na przerobieniu Ustawy o zgrupowaniach rzemieślniczych z 1816 r. Na czem polega ta reforma, powiemy niżej, tu zaś dodamy jeszcze kilka uwag ogólnych o działalności delegacji.

Przedewszystkiem członkowie jej nie zastanowili się nad pytaniem: o co im chodzi; czy o podniesienie stanu rzemiosł, czy też o poprawę położenia rzemieślników, chociaż w obu wypadkach ograniczanie swej pracy jedynie do przerobienia, chociażby zasadniczego, ustawy jest błędem. Jeżeli mówimy o podniesieniu rzemiosł u nas, to można brać na uwagę tylko stronę ich techniczną, do czego żadna ustawa nie przyczyni się chyba w dostatecznej mierze. Podniesienie przypuszcza pewien upadek, który zależeć może albo od względów technicznych, albo też od warunków ekonomicznych, bądź to czasowych i zmiennych, bądź też trwałych, określających przebieg zjawisk gospodarczych. Ulepszenia w technice rzekomo dzicelnictwa, jakkolwiek byłyby dość silnie związane są z ogólnym poziomem kultury narodu, mogą być przypisane za pomocą użycia odpowiednich środków, do których nie należą jednak ustawy, lecz np. bezpłatne kursy wieczorne, szkoły ludowe, wystawy, muzea itp. Jeżeli zaś upadek rzemiosł pochodzi z przyczyn ekonomicznych zmiennych, jest skutkiem powolnego przesilenia w przemyśle, również ustawa oddziału tu nie może — w danej chwili weźmie, gdyż przyczyn najbliższych nie usunie, w przyszłości zaś bardzo słabo, bo przesilenia są wynikiem ogólnych zasad obecnej formy ustroju społeczno-gospodarczego. Tembardziej powtarzyć to można, jeżeli upadek rzemiosł jest objawem działania pewnych prądów ekonomicznych, jeżeli nie mogą one wytrzymać współzawodnictwa z przemysłem maszynowym, fabrycznym. Zwyckiego pobodu wielkiej produkcji nie powstrzymają żadne ustawy, chociażby całe ich tony rzucano pod koła tryumfalnego wozu, wraz z objaśnieniami teoretycznymi p. Makowieckiego i przytoczeniami z Brentana, Schippla i innych socjalistów katedrowych.

A może delegacji chodziło o podniesienie społecznego i materialnego położenia klasy rzemieślniczej? Tutaj ustawa miała by pewne pole działania, ale wtedy, gdyby przy tworzeniu jej pamiętano, że i w rzekomo dzicelnictwie są również przedsiębiorcy robotnicy, których interesy nie zgadzają się wcale. Majster, chociaż nawet sam

pracuje, jeżeli tylko posiada najmniejszych czeladników i uczniów, jest także kapitalistą, tylko że część dochodu czerpie z pracy własnej; tembardziej właściciel rzekomo dzicelnictwa, który ewykalkuje jedynie przedsięwzięciem. Można więc stać albo na stanowisku majstra, albo bronić interesu robotników, lecz niepodobna tych sprzecznych dążeń godzić w jednej ustawie.

P. Makowiecki w „objaśnieniach” szeroko rozwiódł się nad społecznymi prądami w ekonomii i polityce ekonomicznej, usiłując skierować tę wodę na młyn zakonów i ograniczeń. Zresztą czyni on to, co czynią wielcy mówcy stanu i poważni uczeni, zwłaszcza w Berlinie i oficynie pruskiej — Wiednia, Schippel, Lange a nawet Brentano zdziwili by się jednak, gdyby uwagi swe o złych skutkach nieograniczonej wolności ekonomicznej ujęli w takim zastosowaniu, jakie dają im polski komentator. Autorowie o inaczaj bowiem rozumują, zniechęcenie bezwzględnej swobody ekonomicznej, a „opiekunka” działalność państwa” opierają nie tylko na „baterii przeróżnych ograniczeń” lub zakonów. Bezawzięcia taki prąd reakcyjny istnieje wszędzie, najszersze rozlał się w Niemczech, lecz dziś nikt już nie wliwi w nim zbawienia ekonomicznego. Skrzyżowanie średniowieczny z socjalizmem daje potwornych bękartów, u których zresztą z wielkiem występną coraz wyraźniej właściwości matki, znika zaś zupełnie podobieństwo do ojca. Taki charakter objawia wydana niedawno austriacka ustawa rzemieślnicza, na którą zaprzężyli się widocznie brzemieniom obecnym projektom reformatorowie warszawscy.

Zmieniona ustawa żąda, aby do zgrupowań należeli wszyscy bez wyjątku rzemieślnicy, bez różnicy płci i wyznania. Znosi ona wolność zarobkowania, czyniąc je zależnem od wykupienia patentu i złożenia egzaminu. Jest to więc wskrzeszenie cechów, tylko pod inną nazwą, z zachowaniem nawet hierarchicznego podziału na majstrów, czeladników (towarzyszów) i uczniów. Zarząd zgrupowania składa mają delegację od majstrów i czeladników, przyczem pierwsi posiadają i jeden głos więcej. Po nad wskrzeszonymi cechami wznosi się będzie ogólny zarząd rzemieślniczy, w którym zasiadają już tylko majstrowie. Zakłady fabryczne wyłączone są od uczestnictwa w zgrupowaniach. Nakoniec ustawa zamierza niezmiennie obowiązkiem utrzymania szkół fachowych i proponuje utworzenie sądów rzemieślniczych, którym poddawano by spory pomiędzy majstrami i czeladnikami.

Pojedyncze paragrafy starej ustawy podległy wielu zmianom, ale nie koniecznie na lepsze, projekt bowiem utrzymuje w całej pełni ustroj hierarchiczny stosunków rzemieślniczych. Sądy cechowe zamocniły by tylko przewagę przedsiębiorców, zamknięty charakter zgrupowań i usiłowania wywołania ich z pod kontroli państwową i społecznej sprzeciwiają się właśnie nowym zasadom ekonomicznym, których wyznawcami mianują się twórcy projektu. Kasy pomocy wreszcie, według brzmienia ustawy, będą raczej instytucjami dobroczynnymi, aniżeli społecznymi.

Można by się zgodzić na korporacyjną wyłączność zgrupowań rzemieślniczych, gdyby działalność ich przybrała jakieś szersze rozmiary, gdyby np. — jak tego żądali niektórzy autorowie odpowiedzi — study się one wielkimi związkami wytwórczymi, chociaż i wtedy hierarchiczność zasad ustroju byłaby szkodliwą i wsteczną. Organizacja rzekomo dzicelnictwa wtedy bowiem jest pożądaną, kiedy broni pracy od przewagi kapitału, znosi bowiem choć w części niedogodności, wynikające z tego faktu, że praca jest towarem sprzedawanym na rynku, jak każdy inny. O tem autor „objaśnień” mógł przeżyć w dziele Brentana szeregi trafnych uwag. Rozumie

tak przypadkowo, zniknie, zabierając mu jego duszę. Na dywanie leżała gałązka jasminu, przysepłona przed chwilą do piersi nieznajomej. Jerzy podniósł ją machinalnie, napawając się silną wonią rośliny.

— *Tiens...* — oderwał się głos za oknem wagonu — *c'est vous, chère belle!*... Jakżeś szczeniły, że pierwszy powitać pania mogę... Zawsze piękna, zawsze wspaniała... w domu, czy w podróży — *admiration!*... Natychmiast otwieram... służę panu!... Odzyskajemy pania przeciw i to na długo — *jespere!*...

Nieznajoma podala rękę mówiącemu to słowa i, biorąc ją sady obcisłej sukni, skoczyła lekko ze stopni; poczem, póżegnana przez uprzejmego mężczyznę, porwana falą zmierzających ku wyjściu, znikła w tłumie.

Jerzy stanął, ukłuty w samo serce. Ton, jakim ów głos mu znajomy przemawiał do tej kobiety i sposób zachowania się wobec niej zdawał mu się dla niego obrazą. Z bijącym sercem wybiegł z wagonu.

— *January!*... — zawołał, poznając dawnego, od lat dziesięciny przyjaciela — proszę cię, jedno słowo... ta kobieta?..

— Co za kobieta?..

— *Ta, która witałaś przed chwilą. Je-chaloz z nią w jednym wagonie, jak widział. Ko ona?*

Przyjaciel spojrział nań badawczo.

— *I ty także, biedaku!*... — rzekł powoli — *i ty także leciś, jak ómś do światła, przy którym sobie akrydka opalić możeś. Ta kobieta — to Marya...* ostrożnie, przyjacielu! To twarz cheruba — a dusza złotonij. Kaprysy jej nie mają granic. Dziś fantazyjna i niedostępną, jak górską kosa; jutro rozejne moralnie tych, co mają nieszczeście zbliżyć się do niej.

Jerzy ruchem gorzkowym cisnął trzymany w ręku kwiat i zdeptał go w błocie. Zdawało mu się, że wszystkie krew zbiega mu do serca. Ujął pod rękę przyjaciela i zwrócił się ku wyjściu. Rzucił się do pozwu i przyskakiwając oboma dłońmi patające skronie, złamany i nieszczęśliwy w tej chwili, wyznał:

— *A jednak... jednak... życie za tę kobietę!*

(D. c. n.)

się, że taka organizacja rzemieślnicza zależna jest tylko od woli państwa i przy jego współudziale jedynie możliwa. Skromna delegacja Towarzystwa przemysłu i handlu nie mogła marzyć nawet o tego rodzaju reformie, podjęła ona zadanie daleko mniejsze, ale wybrała dla drogie niewłaściwa, ustawy bowiem piszą prawdziwie. Jeżeli brano na uwagę trudności położenia, jeżeli liczone się z względami praktycznymi, to i w takim razie owa droga nie jest odpowiednią. Projekt bądź co bądź wnosi do ustawy z 1816 r. ważne zmiany, co do których poglądy władzy prawodawczej nie są znanymi. Jeżeli więc w sprawie podniesienia rzemiosł nie wymyślono niczego innego, oprócz reformy ustawy, i jeżeli przyjęto w rachubę warunki praktyczne, należało po prostu uzupełnić niektóre paragrafy, inne wykreślić, słowem, możliwie przystosować istniejące prawo do okoliczności dzisiejszych, wtedy bowiem zatwierdzenie zmian byłoby bardzo prawdopodobne. Obecnie zaś przeciwnie ustawa pozostanie zapewne w dziedzinie projektów, jeżeli zaś ma mieć jakie tylko znaczenie, można było nadążyć jej oparcie szersze, uczynić ją wzorową.

Jakkolwiek kwestyonaryusz złożony był pobieżnie i stawiał pytania w sprawach, jakie rzemieślnicy rozstrzygnąć nie są kompetentni, był przynajmniej kompetentni są narówni z innymi członkami społeczeństwa, w nadesłanych odpowiedziach, o ile sądzić można z pobieżnego sprawozdania, poruszone wiele ciekawych zagadnień.

Wprawdzie obok wniosków rozumnych, znajdujemy i takie dzwoliłki, jak np. zakaz używania maszyn, jeżeli nie ma braku robotnika, lub prośbę o wydalenie rzemieślników przybywających do Warszawy z prowincji, ale są również uwagi bardzo trafne i to liczne. Zapytywano głównie zgromadzenia rzemieślnicze, nie więc dziwnego, że członkowie ich oświadczali się za ograniczeniem swobody robociznowania, w obronie której podnosił głos w delegacji tylko pp. Radnicki i Szwedo. Ciekawa rzecz, że za zniesieniem zgromadzeń oświadczali się czeladnicy. Autorowie projektu uwzględniali zawsze prawa żywienia większości, zapominając, że jest to większość przypadkowa, bo ożyż że stu kilkadziesiąt odpowiedzi można sądzić o zdaniu ogółu rzemieślników?

Sprawę podniesienia rzemiosł za pomocą zmiany ustawy nazwać więc można pomysłem chybnym, sumą zaś reform zgromadzeń krokiem wstecznym i szkodliwym, nie zgodnym ani z wymaganiami nauki ekonomicznej, ani z rozwojem naszego życia społecznego. Nie znaczy to jednak, żeby w projektowanych zmianach nie było stron dobrych, owsem są one i nawet w znacznej liczbie, ale tracą znaczenie wobec ogólnego charakteru ustawy, podtrzymującego średniowieczne, hierarchiczne zasady stosunków wzajemnych między rzemieślnikami. Zresztą projekt pozostanie zapewne projektem i w żadnym razie rzemiosł naszych nie podniesie, co prawda, trudno nawet mówić o podniesieniu, kiedy nie znamy wcale ich stanu.

P.

ROLNICTWO WE FRANCYI.

Paryż, 24 lipca.

Na krótko przed wczoraszem parlamentarnym, Izba francuska zajmowała się znowu clami zbożowymi. W r. 1835 postanowiono opodatkować zboże, przywożone do Francji, w wysokości 3 fr. od hektolitra. Obecnie domagano się podniesienia opłaty do 5 fr. Na śądanie ministra rolnictwa, wniosek został odesłany jeszcze do komi-

syi, tj. uchwałę ostateczną na czas jakiś odroczono.

Przedtem jednak odbyły się obszernie rozprawy, które sprawę nie tylko już cel, lecz wogóle gospodarstwa rolnego we Francji, postawiły na porządku dziennym obrad parlamentarnych. Wypowiadanio przy tej sposobności wiele mów niepośledniej długości, które nie nowego nie przyniosły. Z pośród nich jednak wyróżniało się przemówienie młodego posła z republikańskiego obozu, Pawa Deschanela. Występował on po raz pierwszy, odrazu jednak zwrócił na siebie uwagę niepospolitym talentem krasomówczym, gruntowną znajomością przedmiotu i niezależnością sądu. Z niektórymi faktami i poglądami, wypowiadanymi w toku tych rozpraw, poznajmymy czytelników *Parydzy*, z wielu względów bowiem zasługująca na uwagę.

W gorących tych zapasach sejmowych poruszone napróżd odwieczną kwestyę teoretyczną cel i wolnego handlu. Od czasu, gdy za staraniem Roberta Peela i pod wpływem głośniego Klubu Obodnia znieśiono w Anglii (1846) cla zbożowe, sprawa ta nie schodzi z porządku dziennego i ułożyć by już można olbrzymią bibliotekę z dzieł lub broszur jej poświęconych. Wiadomo czem cla były po tamtej stronie cieżiny Kaletniańskiej. Wiele właścicieli ziemscy, mający zapewnowaną większość w obu Izbach, używali przy pomocy tej opłaty ceny zboża na znacznej wysokości, pobierając w ten sposób haracz od tych wszystkich, którzy ziemi nie posiadali. Przemysł tymczasem rozwijał się potężnie i potrzebował taniego robotnika; dotrzymać claba dawała się cnie dotkliwie klasom młemu zamoznym, przywilej zaś, polegający na opodatkowaniu kieszeni i głodnych żółdków na rzecz feudalów rolnych, był nadzwyczaj krzywdzącym. Podniesiono wielki i słuszny krzyk, rozlegający się donośnie na falach wzbudzonego liberalizmu — i cla zostały zniesione. Lordowie zresztą dla się przekonali, że korzystniej będzie dla nich przemienić niwy orne na pastwiska i produkować mięso, zamiast zboża. Wyzucono tedy z dóbr ziemskich mnóstwo czynszowników, robiąc miejsce dla bydła i baranów, panowie właściciele kazali sobie przymem wypłacić milionowe zapomogi państwowe dla wsparcia rolnictwa, pochodzącego „ciężkie przesilenie organizmów” i wszyscy byli nadzwyczajnie zadowoleni — z wyjątkiem oczywiście wyzuconych czynszowników, marących z głodu lub emigrujących do Ameryki. Ceny mięsa były ciągle wysokie, wzrastając, bowiem ludność miast spotykała go coraz więcej. Lordowie porobili milionowe fortuny; dziś zaś, gdy im za czasno w starej Anglii, poszatkadali olbrzymie formy w Stanach Zjednoczonych i Indjach i współzawodniczą z Europą, która wykarmiła sobie tak groźnego przeciwnika. Z taniości claba raził były także i fabrykanci, oem bowiem pracy robotniczej spada, jak wiadomo, do kosztów jej utrzymania.

Obalenie cel zbożowych w Anglii rostrabiono na wszystkie strony świata, jako zwycięstwo postępu i wolny handel stał się odtąd dogmatem ekonomicznego liberalizmu. Nie należy jednak zapominać, że było to przedewszystkiem zwycięstwo mieszczaństwa przemysłowego nad feudalizmem, a raczej układ zawarty między temi współzawodniczącymi klasami; układ, dla obu stron korzystny. Lordom odjęto tylko część renty, którą postarali się wrócić wielokrotnie pomnożyć. Szersze klasy ludności nie na tem nie wygrały, a nawet ucierpiali dotkliwie.

Idee wolnohandlowe przeniknęły z kolei na dla wody, a przedewszystkiem do Francji. W r. 1860 Rouher, nasładować Peela, przy zgiesztych okłaskach ekonomistów, postarał się o zniesienie cel zbożowych. O co chodziło? O 20 milionów hektolitrów zboża węgierskiego i rosyjskiego, które

dla francuskiego rolnictwa nie były zbyt groźne! Dziś te 20 milionów przemienili się w 100 z czubem. Rzecz przymem szogólna, że gdy mowa o wolnym handlu, ekonomici zawsze mają na myśli tylko zboże i wogóle produkty rolne — swoboda owa do wytworów przemysłowych wcale się nie rozciąga. Mieszczaństwo, jak wiadomo, warata pod osłoną cel protekcyjnych i dopiero wtedy się bez nich obywa, gdy nie potrzebuje lekać się żadnego współzawodnictwa. Głosi się wtedy wolność przywozu do krajów, które stoją na niższym szczeblu przemysłu i rolnictwa. Przemysł francuski i dziś jeszcze nie dosięgnął największej wysokości rozwoju, gdy więc zawierano w r. 1860 traktaty handlowe, zniesiono cla na zboże, lecz zachowano je dla wielu wyrobów przemysłowych. Kiedy sprawę tę wówczas poruszono w Izbach, rolnicy domagali się, ażeby wynagrodzono ich za stracone korzyści, zachowując cla na produkty rolne, nie będące artykułami spożywczymi, jak ziarna oleiste, skóry, drzewo, len, konopie, wełna, rośliny fabryczne itd. Przedstawienia atoli tego nie uwzględniono, wyroby te bowiem są materiałami surowym produkcji fabrycznej, mieszczaństwo zaś, wspierane przez ekonomistów, było gora. Gdy następnie w r. 1880 odnawiano traktaty handlowe (od roku 1881—92), rolnicy znowu upomnieli się o swe produkty niespożywcze, żądając, ażeby stawiano je na równi z wyrobami przemysłowymi. Ponownie odprawiono ich z kwitkiem, o sobie zaś nie zapominano.

Tymczasem współzawodnictwo amerykańskie doszło do niezwykłych rozmiarów i produkcyja rolna we Francji zaczęła chomąć. Spadły ceny zboża, a za niemi cny dzierżaw i ziemi. W ciągu ostatnich lat sześciu uprawa zboża zmniejszyła się we Francji o 40,000 hektarów; rolnictwo, upodlegane systematycznie, głośnie zaczęło wołać o ratunek, ponieważ zaś zbliżyli się wybory i republikańcy byli w obowiązku, że niezadowolnieni rolnicy wsparli opozycyę monarchiczną — uchwalono więc cla na zboże.

O ile środek ten jest skutecznym, wykazał poset Deschanel. Koszt produkcyi jednego hektolitra we Francji wynosi 20—22 fr. — tymczasem zboże francuskie spadało w r. 1884 do 15 fr. za hektolitr. Amerykańskie z dostawą do Hawru kosztuje dziś 16 fr. 08 cent, za hekt., indyjskie w Marsylii 16 fr. 75 cent, cło przeto w wysokości 3 fr. z hektolitra okazuje się niedostatecznym do wyrównania warunków dla produkcyi francuskiej; ażeby wyrównanie to było zupełnem, należałoby, zdaniem rzeczonoego posła, podnieść cło do 7 fr. 65 cent, na co zresztą Izba się nie zgodzi.

Mówca nie uważał cla na zboże za jedyny środek do podniesienia rolnictwa, lecz za środek najbliższy, będący pod ręką wobec tego, że zawarte już traktaty handlowe wiązały Francję do r. 1892 i że państwo zrobiło dotąd bardzo niewiele dla podniesienia gospodarstwa wiejskiego. Czy pogodziłmy — pytał on — nasz system fiskalny z postępek cywilizacyi i ułatwieniami dla kredytu? Czy poddaliśmy rewizji, jak w Anglii, prawo, zapewniające dzierżawcom zwrot włożonych kapitałów? Czy zmieniliśmy prawodawstwo wodne na poludniu, które pościeliło rolników dla żelugi, lubo ono dziś, po wybudowaniu dróg żelaznych, niema racyi bytu? Czy przyczyniliśmy się do zniesienia szlachowni, utrudniających gospodarce? Czy zorganizowaliśmy po wsiach pomoc publiczną na wzór miast? Czy daliśmy rolnikom przedstawicielstwo zawodowe, jakim cieszy się handel i przemysł? Czy wydaliśmy zapowiadany kodeks rolny? Czy zrewidowaliśmy wadliwy kodeks procedury cywilnej, jak w Anglii. Niemcech lub Włoszech? Czy zapożyczyliśmy u Stanów Zjednoczo-

nych wyborną organizację handlu zbożem? Czy upowszechnili naukę rolnictwa wszystkich stopni? — Nie, nie pozostało nam więc nic, jak zaprowadzić tymczasem cha, dopóki rolnictwo nie znajdzie w sobie dość siły do wytrzymywania walki z krajami, uposażonymi pod tym względem nierównie lepiej.

Trudno nie zgodzić się z posłem francuskim. Wogóle w sprawie tej nie należy ludzię się fałszywymi przesadami mieszańskiego liberalizmu. Trzeba przynajmniej rzecz stawić otwarcie. Żyjemy dziś w okresie przewagi bogatego mieszczaństwa — wszystko więc dla niego i na jego korzyść. Kogoby takie hasło nie zadawało, to niech się nie rozczuła zbyt mocno ani wolnym handlem, ani znoszeniem cel. Mieszczaństwo rozwija się dziś na zachodzie kosztem różnych żywiołów, między innymi i kosztem produktów rolnych. Kto w tym widzi cel społecznego rozwoju, niech bije *bravo*. Wynikiem tego społeczno-dziejowego zwrotu jest także opustoszenie wsi na rzecz miast. Ludność wiejska we Francji już za czasów cesarstwa zaczęła porzucać ziemię, ruch ten wzmacnia się za czasów Rzeczypospolitej. O roku 1871—76 przeniosło się do miast 40,000 osób, od 1876—81 — 80,000, od 1881—85 przeszło 1,000,000. Czy też emigracja jest objawem nieodwracalnym? czy cały lud wiejski ma przejść przez zanieożyczonego filtr wielkomięjski i stać się armią proletaryatu, szęby inne warunki bytu dla całego społeczeństwa wywalczyć? Pytanie to rzucałyśmy tym, których sprawy podobne żywo obchodzą.

Zapominać jeszcze nie należy, że wo Francji drobna własność włościańska jeżeli nie przetrwała, to w każdym razie licznie jest reprezentowaną. Gdy więc chodzi o algi lub ochronę dla rolników, nie idzie tu wyłącznie o lordów, lecz i o chłopów lud wiejski. Czy drobna ta własność się utrzyma i przejdzie wprost do wyższej formy kooperacyjnej, zależy to od wielu warunków i w żadnej księdze przeznaczonych o tem zgóry nie napisano. Tymczasem stał ten drobną własności nie jest bynajmniej kwitującym, jak to wielu tendencyjnie przedstawia.

Pomówimy zresztą o tem innym razem.
E. P.

BADANIA NAUKOWE.

FILOZOFIA GNUŚNOŚCI.

I.

Quid prodest mihi philosophia,
si fatum est?

Seneca. Epist.

Gdyby to pytanie wypisać na pierwszej karcie dzieła p. Dębińskiego, praktyczna wartość książki leżałaby, jak na dłoni. Ale ponieważ *Postępek, szczególnie i przewrotny społecznie* doznany tego nieczęstego w piśmiennictwie polskim zaszczepu, iż zaznaczano w krótkim stosunkowo czasie ponownego ich wydania, wypadła bliżej są powyższy usprawiedliwić, tembardziej, że książka zjawia się w otoczeniu całej girlandy pochwał, nieprzymierzalnych przy poprzednich pracach autora. Stał się on odrazu u szczytu sławy, w pewnych — rozumiemy — kołach. Mianoowano go półbogiem.

W każdym razie, jeżeli już p. Dębiński zbogacił przysłałą mitologię naszą, figurując w niej będzie raczej jako duch zagłady, niż jako bog twożycielski. Będzie to Seta, Izy, Moloch — nie Adonis. Jak zwłastą ponury niedoli i potępienia, staje on przed nami; piorunująca mowa otwierała z różowych słudek, przepływszy, roz-

mie się, że są one udziałem czyimkolwiek, zdarzają tęgową zasłanę z tragedji tego podolu, scina nam krew w żyłach widokiemy tego nędzy bezgranicznej. Czyny zaś to wszystkie prędko i bez frazeologii, dając wyborny skrót gorzkiej żalów, które wyśpiewali już oddawna gdzieś indziej pesymiści fachowi. Czytelnik uważa za to dla p. Dębińskiego wielką wziędość, że nerwy jego niechyt dla tego trzyma w naprężeniu. Wistocie bowiem, dotychczas nauka o społeczeństwie albo raczej o niesocześnie dośzła do niesłychanej wprawy w wyliczaniu psot i głiw, jakie idea bawzeględna, niby dyablik złośliwy, plata biednemu człowiekowi. Pan D. dowiódł zarówno znakomicie rykoszety, jak i dobrego smaku — oszczędzając tej nudnej litani. Na tem zyskały tylko jego fotografie ziemskich piekieł i w rzeczy samej zbliża się ona niekiedy do głęboko odczutej pieśni Hiobowej, choć nie wyciępanej na smętnej lutni proroka, lecz — darując proszę — wybiegniętej gniewnym giestem, jak ongi doboz La Grande przyszłemu pocię z Dusseldorfu paleczkami po skórze napiętej wygrał rewolucji francuskiej. Język tu dosadny, dowodzenie wolne od sztucznych ruszawek sofistycznych, pozwalają rzecz czytać chętnie, wrażliwą ją w umysł, rżąc w nim dosyć głębokie brudy.

Zdemaskowany w ten sposób świat przedstawia się nam wesoło. Żyjemy na nim po to, by ryknieć jej później umrzeć i w chwilach skłaniania, zwykłe miesięcznych, srodze odpokutować za każdą okrucyńską zaszczęcia. Natura fizyczna człowieka jest szczytem błomności i w tym względzie najzupełniej licuje z jego organizacją duchową. Odbarzeni jesteśmy sokowiem bez marzeń; w każdym z nas są ukryte szpony i dziób ostrego drapieżnego ptaka, a choć wmyślamy w siebie i bliźnich, to czyni jednostki są zarazem dobrodziejstwem dla innych — klamionymi po prostu, bo krwiożercze nasze popędy przy łada starci interesów osobistych wyłażą na wierzch w całej swej nagoci.

Czy tylko człowieka jest jednym długim łańcuchem katuszy, jeśli nie dla niego samego, to dla jego otoczenia. Wychowanie jest trudnym mozołem — dłuższym i uciążliwym nieraz, niż rola matki przed wydanym na świat dziecią, na które skazała ją nieublagane *in dolor parit*. Plon wszystkich zabiogów rodzicielskich wyla niekiedy nader wpływy lub idzie na marne, a już cukierni rzadko okupuje włożony wch nakład staru i zabiegów.

Najlepiej wyposażony osobnik, przestawczy być brzemieniem dla gniazda swego, staje się ciężarem dla siebie — musi pracować. Trud — to powszechne fatum, nikt, prócz wyszłych z godności oświeczonej, przed nim się nie cofa. Jakkolwiek wielu te życiową pańszczyzną podnosi do apoteozy, jednak, pomimo całej swej moralnej wyższości i szczynności, praca była, jest i będzie wiecznie przymusem do stanowiska wartości bytu, kto zaś nią gardzi, dla tego, że jej nie potrzebuje, z czasem wraca do tej jedynie przednudy, przystoem i bezcelowości istnienia oświeczonego.

Przeżywszy narodzić się dożny górską, najętoż ostrymi głazami, oo chwila obawiając się i kalecząc, zmęczeni, zniechęceni, stajemy u wierchołka, który nam bynajmniej poniesionych wydatków się nie wynagradza: starzejemy się. Jaką zaś parodę siły, żywotności, swobody i szczególnie stanowić mógł podłozę — zbyt uczona dowodzić; dosyć zatoczył okiem dokoła, a hurmem zjawia się jakrawa, żywe świadectwa w postaci obłądanych ruin, zgrybiałych duchów, których ludu pierwotnie nie mają cierpliwości znoś i niemilosiernie osmierzają. Choroba jest nieodstępny towarzyszem człowieka. W każdej chwili jęcza miliony po łóżkach szpitalnych, cierpią najbardziej wyszukane męci, a szulka

lekarska, która samochwaleco obiecuje ułożyć ich doli, sama sobie za pośrednictwem śmielszych swoich przedstawicieli daje *votum* nieufności.

Ta, z samych rozpaczliwych ustępów złożona, farsa jednostkowego niedołęstwa odgrywa się na szerszem tle, na rozległej scenie, okalającej przyrodę, która godnie swem okrucieństwem dotrzymuje placu tamtej. Natura na całym prawie globie pod pozornym powabem kryje maśtwie zasadzek, których ofiarami padają tysiące niewinnych, lub przygotowuje straszliwe niespodzianki, krwawe ofiary, jak gdyby nadziemiaki Norko chciał za jej pomocą napawać oczy cierpieniem i zagładą; wstrząszeniami grzebie w oszalełości ziemi cude kraje, orkanami smiała z jej powierzchni miasta i gubi całe społeczeństwa, gorzącą zalewa lawą setki osad, zarażami opustosza najrujchliwsze państwa, głodem morzy miliony.

Ludzie nasładowa ten instykt zagłady. Mają w sobie zaszczępione ziarna nienawiści i wzajem mordują się lub męczą, toczą długoletnie wojny, a nawet w chwilach odpoczynku grożą niemi sobie, jakby dążyli do powszechnej walki wszystkich z wszystkimi, kiedy już nie narody z narodami, lecz bliźni z bliźniem będzie się brał za bary.

Oto barwy, w jakich p. Dębińskiemu przedstawia się nasz los. Czarne, bardzo czarne — nie ma co mówić. To już nie otoblał, ale — jak mówi Cieszkowski — ocean cierpienia, w porównaniu z którym rozkosz jest tylko morzem. Atoli, według autora, jest ono mniejszych rozmiarów — stanowi tylko kroplę.

Wszelkie przyjemności ciała i nerwów powiększają nader prędko, zdolność nasycać się jest ograniczoną, albowiem organizm rychło tępię i coraz silniejszych żąda pobudzeń — dowodem Lucullus lub Stanisław August. W miarę zaś rozwoju oświeczonego zwykłe przyjemności schodzą do zera, te zaś, w których smakował był duch wyrobiony są dlań niedość; zagadka wiedzy męczy, ale nie zaspakaja; mrozy ona wątpliwości, uaoocenia coraz jasnij nicość myśli ludzkiej i zasnurza zdanych światła w odmęcie spożytych.

O przyjemnościach moralnych nie warto nawet wspominać; bohaterstwo, zaparcie się siebie, poświęcenie to — „faceyca,” z których grubo śmieje się każdy, kto zna ludzką naturę.

Jak się z tej Gehenny wydobyć? Nie ma sposobu. Probuja dzieje, probuja wlecy ludzkie, marzący o przekształcenia świata, ale na rdzenne zły nie ma lokaretwa. Już nie tylko wierze, że przemrotem społecznym zburzy nadgłnia budowę i wniesie nową, lepszą; ale grubo ludzi się — reformy mają jedynie spotęgować na razie smę cierpienia, ale pociechy nie dadzą. Autor mniema, że rozpaczliwe wysiłki społecznych proroków nie przysporzyłyby zaszczęcia ani na włos. Rewolucja francuska (jest to koń do wynajęcia, na którym każdy nieprzyjaciel wstrząsnął lubi harować) więcej kosztowała ofiar, niż uoliła jednostek z pod jarzma sferduciowiecznych tortur, a wobec większego hartu dawnych kacerzy, dzisiejsze gilotyny są bezwartościennie okropniejsze od inkwizytorskich doświadczeń. Nowoczesna etyka zryma się na myśl o niewolnictwie u rzymian i greków, ale ze spokojem, więcej niż greckim, spogląda na miliony ludzi wolnych wprawdzie, ale mrących głód, jakiego pachol-kowie magnatów łacińskich nie znali.

Słowem, przewrotny — to jatowe zapędy gorącej krwi. A jednakże, gdyby nie one, byłoby na świecie gorzej jeszcze, na to maleńkie ustępstwo, które warto zapamiętać, autor zgadza się.

Jak z bytu państwa wnioskować można o rządach jego królów, tak z tego opokałowego stanu rzeczy na ziemi pada światło na ster świata — światło bardzo ponure,

w którym raczej widać brak wszelkiego steru. Chociaż autor tego nie wypowiada, wszelako taki jest wymiar jego nielitosowej analizy — z niej wypada, że pierwszym i ostatnim wyrazem wszechroczności jest bezład i chaos; że potęga, jeśli istnieje, to po macoszemu obchodzi się ze swem dziełem, racza je na pastwę żywiołów. W tym braku wszelkiej celowości i wszelkiego rozumnego kierownictwa nie nie znaczą najlepsze usiłowania.

Zdawałoby się wobec tego obrazu rozpacz, że najlepiej byłoby iść za głosem nihilizmu niemieckiego i roztopić się w Nirwanie.

Zgodny z sobą Schopenhauer i niefortunny jego naśladowca Hartman wyrażają do niej tęsknią, lub przynajmniej udają, że tęsknią. Wielki Leopardi z upragnieniem wygląda „kochanki śmierci” i spokojnie obumiera. Aekermanowa pragnie, by wyszło źródło sił natury i byśmy na tej ziemi ostatnimi byli. Także sam wniosek nastrojać się i naszymu posmyśle, p. Debickiemu — i w tem smutnem oczekiwaniu mierzącym do końca jego książki. Rzecz dziwna jednakże, jad, na który tytuł głęboko przejętych myślicieli i poetów pierwszej wielkości, nie znalazło odczytania, autor nasz umie rozpuścić przedziwną sztuką i rozczenić tak, by stał się nieszkodliwym i życia nam nie zaturwał.

Naród i piśmiennictwo polskie są szczególnie od innych... Wielkie wynalazki i wielkie lekarstwa odznaczają się zwykłą prostotą; tę samą cechę posiada i ciekli spokojniejsi szczęśliwoci, o którym mowa. Nie potrzeba go szukać daleko, otacza on nas ze wszech stron, możemy go oczepić pełnemi garściami, opływa nas tak, że się niekiedy w nim dławimy, był on zawsze niepowolana dźwignia politycznego bytu, a dziś nastąpiło bogate żniwo jego.

(D. n.).

Cezary Jellenta.

CUDZOZIEMCY.

W czasach, gdy oświata stała jeszcze na bardzo niskim stopniu, a ludy tylko z trudnością porozumiewały się z sobą mogły, gdyż dzieliły je nieprzebyte przestrzenie, pojęcia religijne i społeczne, tudzież niezrozumiały język, w czasach tych odgradzano się od cudzoziemców chińskim murem. W miarę postępu i oświaty nikił pozwoli zwyciężyć barbarzyństwo a cudzoziemca przyjmowano z otwartemi ramionami, jak upragnionego gościa, który dzieląc się z krajowcem nabytkami sztuki, przemysłu i umiejętności, pomagał do podniesienia bogactwa narodowego pod względem materialnym i duchowym, stając się ponieważ pośrednikiem w zbliżeniu ku sobie ludzkości. Temu stanowiisku zawdzięczały w starożytności potęgę awą Fenicja i Kartagina, a w czasach nowożytnych potęgą i uroczą córą mórz — Wenecya. Dzisiaj, kiedy para i elektryczność, a nawet same powietrze, oddane ludzkości na usługi, zniósł wszelkie odległości, łamiąc dawne zapory, kiedy nauka prawa międzynarodowego otwiera się z wszelkich nalczości średniowiecznych, a jeden z najmłodszych kodeksów (włoski) zniósł pod względem prawnym wszelkie różnice między krajowcem a cudzoziemcem, dzisiaj, w krajnie, rozciągającej sobie prawo do wysokiego stanowiska w świecie umysłowym, szerepnął się rząd pruski na wielkono nabytki cywilizacyjne prawa narodów, tej własności świata całego i ruguje tysiące rodzin polskich, bez zarumienienia przyznając się do gwałtu. Wobec tych smutnych okoliczności, podjął p. L., notaryusz z Nowego Sa-

cza, bardzo odpowiednią pracę *) zapoznania szerszego koła czytelników ze stanowiskiem, jakie zajmował cudzoziemiec w dawnych ziemiach Polski i jakie tam dzisiaj zajmuje. Pomijamy pobieżny pogląd autora na stosunki polityczne w Rzeczypospolitej i na prawo międzynarodowe prywatne, aż do jej podziału, a przypatrmy się obecnemu stanowisku cudzoziemców albo raczej polaków z Królestwa i z Galicji wobec prawa niemieckiego w Prusach. Według konstytucji państwa niemieckiego z 1871 r. wolno każdemu cudzoziemcowi przebywać i osiadać w ziemiach pruskich, względem polaków, pochodzących z ziem do Rosji i Austrii przyłączonych, przyjęły Prusy osobne zobowiązania w aktach porozumienia i w akcie kongresu wiedeńskiego, poręczając „wolność pobytu i osiedlenia z uszanowaniem ich religii i narodowości.” Nadto zawarły traktat w 1831 roku, mocą którego poddani austriacy, jak niemieccy, uważani są zupełnie na równi z krajowcami.” Zresztą w sprawie osiedlenia i w sprawach policyi cudzoziemców tylko państwo niemieckie rozstrzyga, żadnemu państwu jednak nie służy prawo bezwzględne wydalenia cudzoziemców, jeżeli nie dali do tego powodu swym postępowaniem. Za złamanie zobowiązań i za zdeptyanie traktatów międzynarodowych mają prawo państwa ościennie (Rosya i Austrya) domagać się nietylko wynagrodzenia szkód, ale nadto pociągnąć Prusy do odpowiedzialności, a, wobec panującego dotąd w tych państwach odwetu, prawo wydalenia zastosować do poddanych pruskich. Długich wieków i krwawych walk było potrzeba do wyjednania dla cudzoziemców swobody i narodowego rozwoju, wreszcie zasady to prawie wszędzie weszły do obowiązujących ustaw. Przynajmniej ustawy, dotyczące cudzoziemców w trzech sjeđnoczonych państwach (w Rosyi, Niemczech i w Austrii) są, jak wykazuje p. Lipiński, sprawiedliwe, a nawet pod niektórym względem postępowe, lecz braknie, niestety, stróża, ooby czuwał nad ich wykonaniem, brak sądu międzynarodowego, któremuby rządy podlegały i któryby miał władzę wykonania swoich wyroków. Ludzkość, drzemająca dziś jeszcze bezsilnie i w niemocy, ocknie się w niedalekiej przyszłości z przynajmniejszego ją letargu, lecz jeszcze dużo westchnień uleci, dużo jęków utonie, aż luna potęgi i zniszczenia zaświeci nad Europą — i stanie się zadość prawdzie i słuszności w dziedzinie prawa międzynarodowego.

B.

LITERATURA I SZTUKA.

Plon konkursowy.

III.

E. Lubowskiego Oszaczyn.

Tentnowożytny wytwórzył sobie sztychko rozwój literaturę własną, która stanowi osobny rodzaj po za poezją dramatyczną. Nie chodzi tu wcale o poezję, o głębokie myśli i uczucia artystycznie wyrażone, o wzniośle lub domożoności postacie, ale o zajmujące, zręczne rozsiane i wierne z życia wyprute wątki. Najważniejszą rzeczą w tej literaturze jest oryginalny pomysł, najważniejszym środkiem — zręczne zaplątana intryga. Dzieniki opowiadały, że Sardui zwykło mówić nagle bliski, dające mu ośnowo do komedy i że

wtedy — jeśli się znajduje po za domem — łapie fiasko, jedzie do swej pracowni i natychmiast zaskicuje ową kure, która ma obiedzić świat i na różnych scenach znieść mu złote jajka. Z pozoru wygląda to na poetyckie natchnienie — w rzeczywistości jest to znalezienie zyskowego konceptu. W głowie tego rodzaju autora odbywają się takie procesy, jak w głowie przemysłowca, poszukującego dla swych wyrobów formy, zapowinającej im szybki pokup. Przemysłowiec uwzględnia potrzeby i gusty tej warstwy, która jego towary nabywa; pisarz sceniczny liroży się z wymaganiami i upodobaniami tych sfer, które skłaniają przeważnie publiczność teatralną; arystokracy i mieszczaństwo. Obie te klasy nie lubią głębin filozoficznych, charakterów zbyt wysoko podniesionych nad poziom życia, ideał rozsądających budowę społeczną, natomiast chętnie przypatrują się świeżym kombinacjom stosunków w zakresie prawidłowości istniejącej, wcielaniem zasad etyki powszechnej, drobnym poprawkom błędów stanu obecnego — wszystkimu, co daje się łatwo pojąć i przyjemnie słuchać. Gdyby dzisiejszy komedyopisarz obrócił temat *Kupca weneckiego*, nadałoby swą utwor złożeńcami przeciwno lichwie, ukazał jej ofiary i spustoszenia, wycisnął wiele łez i wywołał wiele uśmiechów, ale nawet nie usiłowałby zgromadzić tytuł barw i środków poetyckich, tytuł uczuć i myśli, ile ich znajdujemy u Shakespeare’a. Dzięki tej skali literaturę sceniczną można tytuł słuchać w grze aktorskiej, ale nie czytać — apżynajmniej pomiędzy słuchaniem jej w teatrze, a czytaniem w książce zachodzi olbrzymia różnica wrażeń.

P. Lubowski jest pisarzem scenicznym. Literacka strona jego utworów zdradza piórko, które i po za teatrem pracuje zdolnie, ale nie stanowi ona jego siły głównej. Ponieważ autor pragnie być realnym, nie wyposaża więc swych bohaterów szczerdnie, niż życie: w głowy, w serca, w usta wkłada im to tylko, co oni posiadają jako ludzie rzeczywisti. Obserwator bystry, wprawny i niezmordowany, podpatruje on znamiennie właściwości różnych gatunków oświłkowi, ciekawe stosunki i powikłania, a znalazłszy świeży pomysł, temat, użytkowywa ten materialy i kreśli z niego grupę postaci w rozwoju zdarzeń, odbijających życie współczesne. Nie przeciągnie on struny uczuciowej o najdrobniejszą miarę, nie rzuci myśli zagłębokiej o najmniejszą stopni, jeżeli to naruszałoby wierność charakterystyki i wyprowadzało bohatera za granice powszeźdnie. Jego ludzie tak myślą, czują i mówią, jak ich pierwowzory, a ponieważ te pierwowzory są istotami średniego kroju, więc i w jego komedych panuje nastroj średniości. „Bieżej mi dła grubo — powiada np. jedna z jego staruszek — *aniżeli słodka*.” Wyrażenie to, pozornie wytworne, jest logicznie kulawem, bo odległości olbrzymia określa odległość małą. Ale jest to wyrażenie, które bardzo łatwo spaść mogło z ust kobiety zwykłej — i Lubowski nie waha się go użyć.

Władysław Wrzecki, człowiek twardego charakteru i rzetelnej uczciwości, przez przyjaciół swoich postawiony jest jako kandydat do Rady państwa w Wiedniu. Książę August jednak, chociaż go ceni, postanawia zdobyć mandat dla przedstawiciela swojej sfery i wysyła hr. Stefana, ograniczonego i słabego niedołęę, który rząca poselską dogodzi innemu jego życzeniu — odsunie się od ęony, hrabiny Izzy. Przy pomocy dziennikarskiego najmity, redaktora Koszyńskiego, którego przez zemsta za nieważną miłość podszczuwa na Wrzeckiego hrabina, oraz przy pomocy drugiego redaktora Bickiego, ślepego rzucającego garściami plotki, zdobywa on współzawodnika w opinii zarzutem nieprawnego posiadania majątku i nadużycia

*) L. Lipiński. *Stanowisko cudzoziemstwa w Polsce. Studium z prawa międzynarodowego*. Lwów, 1886.

zaufania w obowiązku plenipotenta. Przypadkowo odkryty dowód oczyszcza honor spotwarzonego i oświeca moralną wartość jego intrygantów. Taką treść zawiera ostatnia komedia p. Lubowskiego p. t. *Osaczony*, której na konkursie przyznano nagrodę trzecią. Piętnuje ona publiczne oświecenie z tą wagą społeczną, że „drobne ciurpionia, wypływające z drobnych ambicji” — oto co nam mózg wypala, co wysusza serce. Głównym utwor ten czuła bez pamięci na jego przesnaczenie senniczo, zasnęlibyśmy wiele powszechności i wiele niedostatków. Przedewszystkiem w takiej walce, jak wybora, przeciwnością zasad i dążeń wyrusza się najostrejsze. W *Osaczonym* tego nie widać. Tam ludzie tylko udają nienawistą dla zblatowania tłumy i nawet zwyciężył bój nie przeszkadza im dobrze sobie żyć, a nawet stosunkować się przyjaźnie. W salonie hrabiowskim okazuje się podczas zapasów nietylko sztab jednej, ale i drugiej strony, a nawet sam nurzający przez arystokratów i ich najmitów Wrzeski. Hrabina Izabela czynny udział w spotwarzeniu co; ożemno im jej za to płaci? „Ludzie” — powiada — mogą mi odebrać tylko szczęście, nie odbiorą mi spokoju sumienia i przeciwstawienia, żem czegoś wart (Podajaj jej rękę). Raz jeszcze podaje pani rękę na znak, że jeżeli sama zdolasz się paui uspokoić, ja nigdy złorzeczyć ci nie będę. O, wierz mi pani i otrzyj łzy, których nie pragnęłam nigdy widzieć z mojej przyczyny.” Tak mówi człowiek do kobiety, która go z ukrycia postawiła pod przegięciem babby? Możliwa miemniad, że ja łagodziła dla bezpieczeństwa w pozyskaniu ręki siostry jej męża — nie. Jest szczerzy. „Unicestwiała maie — rzecze po odejściu jej — powaliła na ziemię i zbrukala, a nie ożuje dla niej żadnej nienawisti. Jestem — tak zimny, czy przypiępony?” Na pytanie to nie umie sobie odpowiedzieć, bo onm stawia mu zagadkę psychologiczną do rozwiązania niemożliwą.

Dotychezas komedia bez ksiąząt, hrabiów i wielkich panów obywa się z trudnością. Niemielibysmy nie przeciwko wystawio tego senniczoego inwentarza, gdyby go zawsze wyprowadzali ręce śmiałe i wody z ogniem niemieszające, gdyby to były ręce arystokratów lub demokratów. Na nieszczęście teatralni pisarze nasi unikają społecznych stanowisk ściśle oznaczonych, skrajnych; dobrze chcą dołowi i przesyłają ukłony ku górze, nasterykują jednak o wmi uświadomili się tylko jednemu drugiemu. Stąd w ich utworach panuje zamęt pojęć, niejasność stosunków, sprzeczności nadmierne złagodzone, różnicę zatarte. Białost usmolona, a czarnost pobielona nadaje obrazom tym koloryt szary, nieokreślony.

Zarzut ten zrobić można i *Osaczonemu*. Osnowa swych komedii autor przyczlił się bardziej na stronę demokratyzmu, ale tu i ówdzie, jak gdyby unikając moonych kontrastów i nie chcąc za daleko odejść od przeciwnego krańca, odbywa ruchy wahadłowe. Mówiąc bez ogródek, hrabia jest kępem, książę nieoym intrygantem, hrabina samolubna ładaczką — tymczasem Lubowski maluje ich charakter, ażeby nie ukazywały swej szpetności. Jest to już tylko ustępstwo, w którym autor nie idzie za swą obserwacją, ale za zwyczajem. Nie chce, ażeby zawołano: ożerwony! — tak jak nie chciałby, żeby krzyknęli: biały! Wołał być — różowym, mied burwą demokratyczną, ale łagodną. Ostatecznie wszakże jest to barwa dla nas sympatyczna.

Wiadomo, że teatr ma swoją własną perspektywę artystyczną, w której rysunki delikatne, czyslowania i szlifowania misterne przepadają zupełnie, natomiast prace kreslone grubo wychodzą pięknie. W tej perspektywie również toną sprzeczności widoczne przy czytaniu, zwłaszcza gdy je zetrze dobra gra aktorów. Słowo pisane

lub drukowane nie ukryje przed nami swych utonności — oceniamy je takim lub innym sprawdzianem chłodo, spokojnie. Natomiast słowozwye, umiejtnie je seony wypowiedziane, nie pozwala nam badać go szczegółowo i ukrywa niedostatki. Płynne ono potokiem bystrym, gorącym, obruszoną światłami deklamacji — więc oświeca, przekonywałub bawi. Tekst ostatnich komedji p. Lubowskiego w połączeniu z grą aktorów tworzy prawie zawsze obraz wywrzozisty, barwno i żywo. *Osaczony* zaś niewątpliwie należy do plodów jego najlepszych. Ma on budowę nieco sztuczną, podpartą nieraz naciąganiem i rakozestnąm środkiem dorobionym, ale postacie uduktaryktizowane cechami zamiennymi wyborne. Na scenie też odnosi dotąd tryumfy, na które w zupełności zasłużył. Jest to bowiem cenny nabytek dla repertuaru bieżącego.

P. Kozłowski chciał utrafić dramat historyczny i oalkiem chybił, p. Mańkowski chciał napisać komedję i narysował karykaturę, p. Lubowski chciał przedstawić sztukę senniczoą i zadanie swoje spełnił szczęśliwie. Czy złożone sądowni konkursowemu prace winny być nagrodzone i w takiej kolei — jest to pytanie, którego ze względu na prywatny charakter tego turnieju rozstrzygnąć nie będziemy. Grono ludzi zebradı między sobą pewną sumę i rozdzieliło ją między kilku autorów, według swego uznania. Co nam, co komunkolwiek do tego? Nas tylko obchodzi plan konkursowy, o ile on wprowadzony został do literatury. Otóż w tym planie *Albert* ma wartość dobrego młodzieńczego wypracowania, *Minowski* — wartość pemyślonej karyktury, *Osaczony* zaś wartość wybornej sztuki teatralnej.

H.

CHWAST JĘZYKA.

Walicki A. Błędy nasze w mowie i w piśmie, oraz prowincjonalizmy. Wydanie trzecie, powiększone. Warszawa, Gebethner i Wolff. 1886, str. XXVI i 463.

Chwałebnie cł podwignięcia mowy ożystej, zagrożonej skateniem przez niedbalosć i nieowot, osiągnął autor w zupełności. Książka jego wywiera i wywierać będzie wpływ korzystny nietylko na szerzą publicznosć, ale także na piszących, od noszonego zaczynający, a skończony wazy na reporterze. Wszystkim ja też serdecznie polecamy. Odłożywszy na bok tego uczonego gramatykarka, staję autor na gruncie praktycznym i bez względu na powagi i osoby, stawia pod przglaz nadużycia grezchy językowe, podajac zarazem środki zaradcze w celu ich poprawy. Filolog znalazie tu bogaty materiał do poznania gwary litewskiej, którą p. Walicki zna dokładnie, jako litwin. Dla dziennikarstwa, utrwalającego błędy potoczneowym drukim i podającego co dzień po kropelce tej trucizny, książka ta jest najskuteczniejszem lekarstwem. Jeżeli tu i ówdzie nie zgadzam się z autorem w szczegółach, ponieważ wytkniętnie, to nie myślę bynajmniej odzwajmniać się za osobiste dotknięcie mnie w tej książce, ani uwielzać smudnej jego pracy i przewidzianego zasłuchu, które szczerze uznaję, lecz idzie mi, jak zawsze, o rzecz samą.

P. W. stojąc na strażu czystości języka, sprzeciwia się rozszerzeniu pojęcia niektórych wyrazów, czego wymaga konieczność postępu czasu. „O ile jest rzeczą zródną wprowadzać do języka wyrazy i zwroty sprzeczne z naturą i duchem jego; o ile jest godną potępienia niedbalosć i lekkomyślność w sprawie przechowywania cenniejszego — o tyle zaowu jest rzecz

śmieszną, dziwaczną i szkodliwą uporczywe zasklepianie się w samoj tylko przeszłości, zadowalanie się samem tylko przedków mieniem i odgradzanie się murem chińskim od wszelkiego postępu. Tylko język martwy, skamieniały spoczywa wspaniale w sarkofagu, nie błagając wprawdzie, ale też i nie postępując. Tętnio języka żyjącego połączone są z otaczającymi go organizmami, więc język taki drga życiem: działa, rusza się, ożekotkuje wraca na manowce, lecz za to też i kładzie się. Zbrodnia więc byłoby zakuc go w ciwną sznurówkę. „W taką moralną sznurówkę chciałby zakuc nasz język p. W., gdy występuje przeciw używaniu takich zwrotów, jak: „mied miejsce, „na czasie, „z rzędu” itp. w znaczeniu przenośnem, np.: „zastosowanie tej zasady miejsca mied nie może u nas,“ albo: „ożynność ta nie jest na czasie,“ „druga z rzędu powiosć.” Wyrażenia te potępia p. W. niewinnie, oświecając niefortunnie zakros ich używania.

Uderzając słusznie na tych, którzy niepotrzebnie posługują się obcyimi wyrazami, mając własne, poswa autor swoją surowosć zbyt daleko. Nowosć wprowadzoną do języka — przypominamy znova dobrane mu znane słowa — jest jak ościu wbity w ciało ludzkie. Będzie on drażnił i cały organizm o chorobę przypawi, lecz nigdy się z ciałem nie złoczy i przedzej czy później organizm zdola go się pozbyć. Takim oświeceniem się wyraz, ukuty przez purytanów: *wykonalczalnia*, zamiast *utartego: apretura*, albo pisownia *Eugenii* zamiast *Eugeni* itp. Mówią np.: odegrano z wielką *pracyzą* kompozycję Mozarta, choć wyrażenie nietylko ścięlosć i dokładnosć, ale także wykwiwnosć i wytwornosć gry, a że na te dwa pojęcia nie ma wyrażenia polskiego^{*)}, posługujemy się z konieczności obcemi. Podobnie nie da się dokładnie na język polski przetłumaczyć, ani wyrazić słowo *pendant*^{**)}. Jeżeli tutaj zachodzi konieczność zapożyczenia z obcoi skarbnicy, to w innych wypadkach nie nazi używanie obcych wyrazów dlatego, ponieważ zupełnie się utarły np. *rezerva*, *aspiracja*^{***)}, na co się gniewa autor. Wogóło trzeba się zgodzić na pewne zboczenia językowe, spowodowane duchem czasu, silniejszym od jednostek, choćby nawet słusznosć była po ich stronie — głową muru nie przobijesz. Niektóre błędnie utworzone wyrazy wosły już w krow i kości organizm językowego, występowanie więc przeciwko nim uważam za stratę sił, czasu i papieru. Jeżeli — jak to sam autor przyznaje — „ani jedno pismo warszawskie, ani jedna książka w Warszawie drukowana, inaczey nie używają jak „odpowiedni,“ to nawoływania, aby pisać tylko „odpowiedni,“ będą głosem wolającego nie puszczy. Będziemy zawsze mówili i pisali „przedsiębiorstwo,“ a nie „przedsiebiorstwo,“ jak chce autor, choć argument jego są słuszne, „Młodym ożwiolkiem“ będziemy zawsze nazywali młodego mętożanę (niekoniecznie młodzieńca) choć to nie zgadza się z duchem języka, na *szczęście*, zmiennym, jak wszystko na świecie, Corka k. Śapieły albo nawet i p. Wagi nie napisze nigdy na swych bilotach Sapieżanka albo Wazanka — pomyślimy, że to półwieczna matrona! — a zona Belzy nie przezwie się nigdy Belzina, bo to obraża te odrobinę samowlosności kobiet, żądających przynajmniej nawisika z kowibiek nie tak niewolniczą, czy lekceważącą, jak ja doradzają purytanie.

P. W. przypisuje wszystkie błędy językowe różnego rodzaju pisakom i gzybiorkom; oni to, zdaniem jego, „prawodniczą“ w używaniu najpotworniejszych

*) A daleczbyś nie można powiedzieć, że wielka dokładnosćia utworu Mozarta!.. Red.

**) A dopiehlen!.. Red.

***) A propiehlen!.. Red.

dziwologów, oni są „źródłem skażenia języka polskiego.” Nie przecząmy, że wielką winą i odpowiedzialnością ciąży na publicznych, gdyż rozkrzewiają oni błędy te systematycznie i w tysiącach egzemplarzy, nie zapominajmy jednak, że oni po większej części wyrażają to tylko, co jest w obiegu i co się już przyjęło w całej publiczności. Niektóre wyrażenia, uważane przez P. W. za grzechy, są własnością całej prowincji, rzucano się zatem na literatów, piszących: „idzie naprzeciw gościom,” zamiast „naprzeciw gościowi,” albo nawet na „bzdurstwa kumoszek krakowskich” (dla swoich litwinów jest autor o wiele pobłażliwszym) dlatego, że mówią zamiast „pościąganie,” „pościąg,” wydaje mi się niewłaściwym. P. W. chce zatrzeć barwy stylu i zapoznaje zamiary pisarza, jeżeli oburza się za powiedzenie „dwieczna Roma,” „śliczney budowniczy” (ironicznie); poprawia na gorze wyrażenie: „chłopaki rozkoszowali się na — rozkoszowali się,” i nie rozumie znaczenia analogii w rozwoju języka, jeżeli godzi na słowo „ptaństwo” (ptań, ptaśne), albo jeżeli każe pisać „szczególnie” zamiast częściej i niewłaściwie używanego „szczególny” (w pierwszym stopniu); podobnie używają litwini i podolacy w stopniu pierwszym słów „dawniejszy,” „ranniejszy” itp. Wrzekomo filizemy wyrażenie „Biblioteka Warszawska za maj” może być w danym wypadku bardzo odpowiednim. Wiadomo, że pismo to trochę się spóźnia, otóż przypuszczamy, że zeszły, mający wyjść w maju, dało abonantom dopiero na początku czerwca, wówczas powiemy najwłaściwiej „zszły Biblioteki Warsz. za maj,” inaczej nawet nie można się wyrazić, gdyż „zszły majowy” nasza mimowoli inne wyobrażenia, dla dokładności więc mówimy zeszły z czerwca za maj. Nie wiem właściwie dlaczego P. W. tak się oburza na wspomnienie „terenu,” przecież wyraz ten jest niezmierzająco odnośnikiem, jak „grunt,” którego jedynie używał kaze. Ta „błot” nie jest błędem, ale prowincjonalizmem, szeroko rozpowszechnionym (w Krakowskim, na Podolu) i używanym przez wzorowych pisarzy. Wyrażenie „pięć procent” (p. W. każe mówić i pisać „pięć procentów”) jest skróceniem, użytym przysłówkowo, należy się domyślać „pięć pro cento.” Często używany zwrot „puścić w trawę,” którego autor jest nieprzejednanym wrogiem, tłumać sobie po prostu — bez „dymu.” Podobnie, jak przedmiot, puszczonej trawy trawę, z niej wypadła, tak porzucany człowiek, „puszczając go w trawę” Wyrazu „poryw” nie wykluczaliśmy z używania, przynajmniej w złem tego słowa znaczeniu; mówi się swawolnie w liczbie mnogiej o porywach niodojrzałych młokosów, czego nie oddaje słowo „natchnienie,” albo „zapal,” a innem zastąpić trudno.

Dlażego użyć w dalszym ciągu myśli „mam już dosyć kłopotów” jest poprawne, „kiedy mam już dosć toż zabawy,” bez dalszego ciągu jest błędem, tego nie rozumiem. „Rozebrać do reszoty” znaczy, do kosałki rozebrać? prawdopodobnie dlatego, że szlachta nasza, zasiadająca do reszoty, zdejmowała żupy, co można jeszcze u nas na wsi widzieć. W końcu wymieniam odmienne znaczenia w gwarze galicyjskiej słów: „buszować,” to samo, co „przeczekać” lub „robić nieporządek,” oraz „zdrażnić” tyle co „szkodać.

Henryk Biegałcin.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Mamy kwestye. — Golarci. — Akt oskarżenia i przestrogi. — Wyperanie kwestyacji przez kobiety. — Co zrobić azyelceni? — Obawy moralne. — Pogład bar-

barzyński. — Kobieta-czowiek. — Ciekawa statystyka. — Liba handlowa królówka w żalobie. — Nowy obywatel polski. — Książka p. Walickiego. — Przesada wymagań. — Dwie steryl piew. — Grzechy Kraju.

Mamy „kwestye,” a sądzę z wrzawy — jedną z najważniejszych. Nie pamiętam, ażeby kiedykolwiek kobieta tak przerażała mężczyzn, jak golarka. Widziałem skurmy niewieście do literatury, praktyki lekarskiej, gospodarstwa rolnego, katod uniwersyteckich, wioślarską itp. — nigdy nie wywołały one równego oporu i popochu. Skąd przybywa najad na prawa mekie — nie wiem, gdyż to same pisma wskazują Paryż, ulicę Gęsią, Sztokholm i dzielnicę nalewkową. Ostatecznie faktem jest, że w Warszawie mają rozpocząć, czy już rozpoczęły swą działalność golarci, sprowadzone z Francji, ze Bawecyi, czy też z Nalewk. Ponieważ dotąd nie rozegrałem się należycie w niebezpieczeństwie, więc powtórzę tylko cudze wolania.

Kurjer warsz. widzi w tym wypadku „polowanie na namiętności.” „Piękniejsza połowa rodzaju ludzkiego” — powiada on — coraz bardziej wypiera pięć brzydzą, coraz więcej zatrudnia staje się „przywilejem” kobiet, tak, że gdzie dawniej pracowali mężczyźni, dziś pracują kobiety. I przed-siębiorcy woła pracę kobiet, dlatego, że jest zwykle tańsza, w niektórych zaś razach, jak w tym naprzykład wypadku, kobieta staje się ponęta, ściągająca gości do zakładu. Z każdego wyrazu tryksa promień prawdy nieznanej. Bo kto przypuszczał, że „coraz więcej zatrudnia staje się „przywilejem” kobiet,” kiedy dotąd mniomaliśmy, że jedynym ich „przywilejem” jest możność rodzenia i karmienia? Kto przypuszczał, że „gdzie dawniej pracowali mężczyźni, dziś pracują kobiety” — kiedy zdawało nam się, że do wielu zawodów (adwokatury, służby urzędniczej, aptekarskiej itd.) są wcale nieuprzedzone, a w innych (praktyka lekarska) stanowią zaledwie drobniutki procent? Kto wreszcie przypuszczał, że należy wzbronić kobietom poważną pracę dla usunięcia złych „ponęt,” kiedy nikt nie przeszkadza mężczyznom sprzedawać perkalki i koronek, opukiwać i oświecać młodych żon starych mężów, posługiwać się nagiemi modkami, brać miary na damskie trawiczki? Moralność nasza zadrażliła na myśl, że golarka dotknięta nosa mekiego, nie czuła zaś ona dreszczów, gdy szewe dotykał nogi kobiecie — widocznie górny bieg ciała ludzkiego jest bardziej nalaadowany elektrycznością, niż dółny.

„Oto jednak — pisał dalej Kurjer — mają czynić mężczyźni, przez kobiety chleba pozabawieni? Oż mi pozostanie, jeżeli nie pomnożenie proletaryatu, jeżeli niepuszczenie się na manowce!” Ponieważ skutkiem tego przewrotu mężczyzna musi zejść miejsce kobiety, więc łatwo ogadnąć, na jakie on wejdzie „manowce.” Wieczorem będzie wychodził z magazynu i na ulicy spotka czatującą, młodą lub starą kobietę, która go zaczepi:

— Wolno pana odpowiedzieć?

On milczy zarumieniony.

— Jeszcze pan w moje oczy nie spojrzal, a już swoje odwraca.

On przyspiesza kroku.

— Słyszcy panie, nie uciekaj, bo ludzko pomyśla, żeś mi co złego zrobił. Taka ładna buzia nie powinna się czmurzyć. Oh, czy to nie uśmiech z ustek sfurkał i pod wasami się ukrył?

— Wtedyż się pani — rzecze on wreszcie — porządnych mężczyzn na ulicy zaczepia.

— Mam zaczepiać nieporządnych?.. Fel. Podaj mi pan rączkę, a ja cię słodkiego w uszko wrzucę.

Trwają jeszcze dąsy, ale wreszcie biedny pajak wpada w sidła mchy. Nie potrzebuje dodawać, że zwykle ofiarą będzie fryzjer.

I kobietom ta przemiana wyjdzie na złe. „Gdy się zestarzeją i staną się niezdolne do pracy, jaką zajmowały się przez długie lata, przyzwyczajone do roboty lekkiej, z pewnością nie wrócą do zatrudnień nakazanych im przez naturę, ale zejść na złą drogę.” Mój Jezu, nikt nie troszczy się o robotnicę fabryczną, co ona pocinie na starość, a golarka budzi takie obawy! Musi ona koniecznie być panną, wdową lub separatką, bo inaczej Kurjer nie przepowiedziaby jej, że „z pewnością nie wróci do zatrudnień wskazanych przez naturę.” Jak wspominałem, znam tylko dwa zatrudnienia niewątpliwie wskazane kobiecie przez naturę, do obu jednak niewiasty w późniejszym wieku tracą „przywilej,” chociażby nawet włosów nie strzygły i bród nie goliły. „Moralność kobiet — dowodzi szan. stróż tradycji — oddających się takim zawodom, w których zmuszane są do oddawania usług każdemu wchodzącemu do zakładu mężczyźnie, nie jest, jak wiadomo, bardzo wzorowa.” Ponieważ zaś — według Kurjera — winni są temu głównie mężczyźni, więc należy na nich oddziaływać? Nie — usunąć z tych zawodów kobiety. Logika niepokalana. Kobieta nie jest człowiekiem, lecz przyjemnością i ponętą człowieka. Nie tego zatem trzeba nakłaniać do umiarkowania, ale ją na kluczo zamykać. Wszakże jeśli łakome dziecko przejada się broszkami, zamykamy broszkownię, a gdyby ono naraziło na niestrawność całą ludzkość, zakazalibyśmy jej hodować.

Naturalnie są i znajdują się zawsze zwolennicy drugiego, barbarzyńskiego rozwiązania „kwestyi kobiecej” (według nich najgłupszej, jaka kiedykolwiek istniała). Rozumują oni tak:

Kobieta jest człowiekiem, a każdy człowiek ma do tego prawo, do czego posiada zdolności; zdolność zaś objawić się może tylko w swobodnym rozwoju sił; dlatego należy kobietom pozostawić wolność pracy, a współzawodnictwo z mężczyznami wykaże dowodnie ich uzdolnienia i usunie je z tych pól, na których się utrzymał niezdolność. Z poza pięknych frazesów o onocie niewieście, o płci nadobnej itd. przeglądają ażspetno twarze satyrów z lubieżnymi minami. Niech mężczyzna przestanie być względem kobiety tylko samcem, a ona przestanie być dla niego tylko „ponętą.” Sprawa golarce sama w sobie jest tak drobna, jak rodzaj bruku na ulicy Smoczej; ale godnym publicznej uwagi jest ten punkt, z którego na niej patrzmy — ta wieża nowożytnego haremu. Pytanie: co robią mężczyźni, utraciwszy jakieś zagadki pracy, nie zawiera w sobie żadnej zagadki tragicznej, bo one stają przed każdym człowiekiem, skazanym na współzawodnictwo i walkę o byt. Kobieta zaś, ofiara samowoli i niesprawiedliwości, wyparta nawet z takich pól, którei swawładną powinna, może bardziej, niż kokolwiek, o to pytać się nie może. Mężczyźni sprzedają kretony i tybety, dobierają barwy dla jej ubrania, a ona ma dla nich wrzesc się fryzjerstwa, które dla niej głównie istnieje? Gdy damy mierzdzą się do różnych panów Karolów i Romualdów, ubierających im głowy, gdy prowadzą z nimi tajemne imłostki, to moralność straty nie ponosi, ale gdy kobieta czesze kobietę, a jeszcze brzoń Broze ogoli mężczyznę — Sodomal Balwiersto nie utrzyma się w rękach niewieście, ale fryzjerstwo jest — jeśli tak rzecz wolno — pracą, wskazaną im przez naturę. W poruszonym „kwestyi” są dwie różne nici: wpływ pierwiastków obcych — tego nie pożądamy, choćby przybywał z Paryża, i rozszerzenie zakresu działalności kobiecej, którego krępować nie należy. Inaczej etyka nasza i ekonomika będą niewnio powtarzać, jak owo pismo niewieście, przytoczone przez Tygodnik Ilustrowany, że „najlepiej pracują biologiczowi w zajęciach pedagogicznych nieokreślonych „wprostych, słabiej zdrowia i t.” — bez za-

dnego wyrzutu sumienia. Zepsucie leże się nie w pracy, ale w próżniactwie; wszelką więc naukę gależ tej pracy tylko zmniejszą, może zakres owych zatrudnień „wskazanych przez naturę, a uprawianych obok „nieokreślonych zasad pedagogicznych.”

Jeżeli tedy są wyznawcy takiej przewrotnej teorii — co z nimi zrobić? Nie zwracać uwagi na to brednie i dalej grzmieć przeciw „golarkom.” Potem przyjdą: aptokarki, i t. p. Dla wyświeślenia tych zapasów, przydałoby się nam statystyczne obliczenie: ile też ludzi umarło w przybliżeniu wytworzą, a ile tylko spotyka? Może z tego rachunku wypadłoby, że niewielka gromadka produkujących męczotny dźwięk na sobie obryzgiwa masę dzieci, starców, kalek i kobiet, chwytając się ustawicznie pod tymi ciężarami. Ta szczęśliwa figura, wymagająca nie tylko siły, ale i zręczności akrobatacznej, jest wymownym objawem naszego ustroju ekonomicznego, wyjaśnieniem naszej pomyślności materialnej, no, i racją wyprawy na „golarki.”

Żaba handlowa królewiecka w sprawozdaniu rocznem zebrała naparkat łóz, wyłanych przez świat kupiecki a powodu wydaleń pruskiek. Płacze ona szersze, bo rząd pozbiwał ją nie tylko grona ludzi adnających, ale mających w Królestwie Polskiem i Cesarstwie stosunki, pożądane przy zakupach zboża i drzewa. Nadto edykt wystrasył agentów i pośredników, którzy o pewnej porze przybywali na krótki czas i dzielnie służyli ruchowi wywozowemu produktów niemieckich na wschód. Ocala ta rzecza znika, a kupcy zostali narażeni na znaczną stratę. Licho gospodarniejsi — mówią oni między wierszami swego sprawozdania do rządu — niech kaszki zdepozują swoją politykę i żądzę prześladować; sobie dogadzą, a nas ruinują. Rozumie się, wygnany nie darowano ani słowa łitości, tylko opatrzone rany własnego interesu. Niech się krwawi — my nie będziemy obłączali serca w jego smutek.

Natomiast obłoczeni je w szaty świętaczne, bo od kilku tygodni zyskiwalimy jednego więcej polaka. *Kuryer warsz.* opowiada, że żył sobie w Warszawie pewien synok Germani, który mimo tutejszego obywatelstwa, pielegnował niemieczny bywalsz kantorze zawnięcie. Pewnego dnia wybrał się do Katowic, skąd go... wypędzono. Oburzony wrócił do Warszawy, zniósł język niemiecki w księgach rachunkowych i korespondencji, na stole postawił biust Kraszewskiego i został — patriotą polskim. I ja cieszę się mocno z tego nabytku; ale gdyby kiedy nastąpiła wymiana, jenoż dwu narodowości, oddalibyśmy go chętnie, bo nie wiem, czy dozwadz kiedys gościnnego przyjęcia w Katowicach, nie wprowadzi znowu niemieczyny do swego „Geschäftu” i nie usunie Kraszewskiego.

A kiedyż to my, literaci, którzy „obaylamy wystawy” — „sistujemy roboty” — „podpisujemy stypulacje” — kiedyż my wyścimy się do ewych pism germanizmy? Ustawa już została opracowana — przez p. Walickiego. Mówi o niej w dzisiejszym numerze kto inny, ja więc tylko dodam kilka uwag uzupełniających. Autor, uznając staranność *Pravdy*, zarzuca jej użycie wyrazu „bezładniejszy,” mniósł zaś — spojnika a, zamiast *lecz* po przeczeniu (dzieć to nie baranki a smoki). Co do ostatniego, jest to drobniak, który sami tepimy, a który tak się nie nadroczony pod pióro nasnie, jak p. Walickiemu wamno się na str. 16, „wąpić to teoryę Darwin’a.” Ale jeżeli ostatecznie mamy dojść do jakiegos ludu, musimy jasno określić, co jest właściwie znaczywaniem mowy, a co jej rozwajem. Otóż *bezładniejszy* ma równe prawo bytu, jak *bezwrotny* lub *bezwładny*. Linde, dawni pisarze i lud — to jeszcze nie całkowity trybunał, rozstrzygający spory tego rodzaju, język zaś nie jest ani tworem ściśle logicznym, ani martwym. Mimo

wszystkich tam, postępuje ciągle, a często w kierunku nieobliczonym. „Na czasie” odnoszono dawniej do kobiety brzemiennej, dziś oznaczamy tym wyrażeniem coś będącego, „na dobre.” Oczemu zaś drugie ma być lepsze, niż pierwsze? Bo starsze? Nie proibierz!

Po za zbytnią surowością, książka p. Walickiego zawiera tyle napomnień słusznych, że znaleźć się powinna przedewszystkiem na stole dziennikarów. Zgarnął on też plew różnych, zgarnął! W jednej wielkiej sterocio zyszał kąkolę anachronizm, siano przez prasę warszawską z *Kuryerami* na czele, w drugiej — wschodnie, przez *Kraj* szczodrą ręką rzucone.

Posel Prawdy.

NA WIDNOREGU.

Taksa dla księży. — Dobrowolna ofiara. — Jeszcze o przeplach dla górników. — Kasy fabryczne. — Krok pojednawczy Niemców Jódalskich. — Ciekawe fakty. — Łatająca cerkiew.

Sprawki pokątnych doradców, znachorów, żydów dostarczają zawsze tematu do żalów nad wywyższaniem ludu. Skargi tego rodzaju znajdujemy nawet w piśmiech, które, nie mówiąc już o uprawniowem wyzysku, zestrony kapitału, otwieracie bronią łupieżczych, zachcianek pewnych waratw społecznych obdarzonych przywilejom przewodnictwa moralnego. Tutaj niewolno nawet mówić o wyzysku, jeżeli zaś fakt nie może uleść zaprzeczeniu lub zbyt wyraźnie bije w oczy, znajduje się zawsze dla niego odpowiednie wyjaśnienie, zmieniające zupełnie jego istotę. Niedziękotkrotnie przez postępową prasą o obdzieraniu ludu przez księży, zapisało nam zawsze, skazalowo nas, Injano, ale nigdy nie zwrócono uwagi na fakt. *Przegląd katolicki* wiadomości takie nazywał nikczemną potwarzą, zdania tego była wzdziecie i władza duchowna. Ponieważ ani wywyższani chlapi, ani wywyższający księga *Prawdy* nie czytają, większość zaś prasy i władze duchowne zaprzeczają wprost istnieniu faktu, przestaliśmy rzucać groch na ścianę. Dlatego to nie zużytkowaliśmy we właściwym czasie listu naszego korespondenta p. K., który nadesłał nam ciekawe szczegóły o ubożnych dochodach duchowieństwa wbojskiego. Tymczasem władza administracyjna zwróciła uwagę na sprawę, która w normalnych warunkach rozstrzygnięta być powinna nie rozparządzeniem urzędowem, lecz własną inicjatywą społeczeństwa i zwierzchności duchownej. „Sposóbrozecz” — powiada *Warsz. Dziennik* — wśród ludu objawy niezadowolenia i niechęci ku księgom, z powodu pobierania przez nich zbyt wysokiej opłaty za usługi religijne.”

Przytem zauważono podobno, że księga używają groźb i straszak chłopów odpowiedzialności w życiu przyszłem. Na nadużycie to nie było skarg, głównie z tego powodu, iż włościanie nie wiedzą, że istnieją stałe takty za spełnianie różnych obrządków religijnych. Obecnie za rozparządzenia władzy cenniki te wywieszone będą w kościołach, oraz w urzędach gminnych i miejscach publicznych. Księga, oprócz pensy rządowej, posiadają znaczne dochody z pogrzebów, ślubów, chrzcina, odprawiania zamówionych nabożeństw itd. Wysocki wynagrodzenia za posługi religijne bywa rozmaite, zależy ono od zręczności proboszcza oraz zamożności parafian, zwykle jednak dochód z tego rodzaju zajęć wynosi, jak oblicza nasz korespondent, parę tysięcy rubli rocznie. „Największą popularnością w sferach duchownych” — powiada on — cieszą się księga, umiejają, bez naruszenia powagi kapłańskiej, możliwie wysoko ooc-

nić i sprzedają *pracę* około zbawienia swej owczarni, ludzie zaś z sercem i wyrzucili na niedolę bliźnich traktowani bywają lekceważąco, obarczani wywótkami za paucie interesu i balamucenia parafian.”

Dla przykładu, korespondent nasz opowiada o pewnym księdzu w radomstwie. Każdy gospodarz za pogrzeb dziecka płacił musi ma od 10 do 20 rs., za pogrzeb dorosłego 30 — 80 rubli. O honorarium umawia się zwykle „księcia pani,” która jako chłopów za skąpstwa i brak żywności dla zmarłej osoby. Zdarza się nieraz, że ubodzy rodzice sprzedają resztki mienia lub zapożyczają się na pobawienie dziecka. Nie dziwnego, że księdz, wydając za małżonkę, dat jej w posagu majątek ziemski, teraz zaś doczekawszy się wnuków, kupił dla nich drugi majątek i praeuje dalej zawzięcie nad powiększeniem fortuny.

Uregulowanie ważniejszych stosunków księży i parafian p. E. K. nazwa sprawą wielce drażliwą, i sądzi, że to odstręczało dotychczas od wystąpienia jej na widok publiczny. Powody były inne, ci, co mieli odwieczną zadrę, nie mieli możności oddziaływania na sfery duchowne, które nie tylko z własnej woli żadnej poprawy podjęć nie chciały, ale nawet nie przyznawały się do winy i trwały w tym uporze, doczekali się wreszcie postanowienia władzy rządowej, wywołanego koniecznością, które może choć w części polozy kres zbyt już jawny nadużyciom. Jeżeli posługi religijne w kościele katolickim stały się wyłączenie praełotem kupna-sprzedaży, słusznem jest, że przedsięwzięcie to poddane zostało odpowiedniej kontroli. Lekars, adwokat, rejent, chociaż pobierają wynagrodzenie umówione, stosować się jednak muszą w pewnej mierze do przepisów taksy, księdz (dzisiaj jest takim samym proceuderzyską, może za jakies szczególne czynności (np. za wypędzenie dyabła) pobierać opłatę dowolną, ale za prawem przepisane obowiązki nie powinien wymagać więcej, niż ma się podług zatwierdzonego cennika należyć. P. K. podaje projekt, który ze względu na powagę duchowieństwa, miałby może widoki powodzenia, dla parafian zaś byłby również odpowiednim: ludność każdej parafii płacił rocznie pewną sumę księdzu, ten zaś obowiązany był wykonywać wszelkie obrządki i usługi religijne bezpłatnie. Jest tonnaj przewziwoista forma pieniężnego wynagrodzenia „pożyteczność” działalności duchowieństwa, ale wątpię, czy księga zgodzą się na nią, kiedy systemat dobrowolnych umów, nawet przy istnieniu taksy, zapewnią im większe zyski. Bo, zresztą, czyż to taksy obojętne nie można?

Wzysk najlepiej lubi chodzić w parze z ugodą dobrowolną, unika on zawsze zteknicia z przysmem, który mógłby go narazić na starcia z kodeksem karnym lub z opinią publiczną. Ta ostatnia jednak zaczyna już rozumieć, że dobrowolna zgoda bywa nieraz gorszą od przysmy, kiedy ten bowiem jest zuchwałym łotrem, jawnie napastującym ofiarę, tamta jest wytrawną oszustką, przywdiewającą dobroduszną maskę. Urzędnicy drogi żelaznej dąbrowskiej skarżą się w listach, przysłanych do redakcyi, na taki właśnie wyzysk, przybrany w formy dobrowolnej zgody. Niedawno otworzono tę kolej, i oprócz skarg pasażerów niczego o niej dobrego nie słychać, pomiędzy dygnitarzami jej znaleziono jednak osobistość, którą postanowiono bądź co bądź uszczlić. W tym celu dwaj zawiadowcy stacyi, zleżeni w części od kontrolera ruchu, umyślili ofiarować mu zegarek i w tym celu wozwali wszystkich kolegów do składki. Niebawdy, pobierający po 30—40 rs. miesięcznie, zmuszani zostali zapłacić po kilka rubli, jeżeli zaś kto miał zatarg z panem kontrolerem, płoć w trójnasob. Rozumie się, składka była dobrowolna, nikt jednak nie uchylił się od niej, uczynili to ci, którzy skarżą.

się teraz. Nie mamy powodu sądzić, że odbierany wie dokładanie, w jaki sposób zbierano składkę, powinien wprawdzie domyślać się tego, ale domyślności nie jest przymiotem, wymagany koniecznie, nawet od ludzi, zajmujących wyższe stanowiska. Dziś jednak, kiedy sprawa stała się jawna, spodziewać się można, że jako człowiek uczciwy i honorowy, nie przyjmie podurku, na kupno którego wydłużono lub wydarto biedakom ostatni grosz, że nawet nie poprzestanie na tom i da odpowiednią nauczkę swym nieproszonym wielbicielom.

Tydzień Piotrkowski poświęca znowu obszerny artykuł rozbiórki — przepisów o porządku robót gwarciwa G. Kramsta, wykazując, że ogłaszanie takich ustaw, wyróżnie zakazaniem jest artykułem 289 kod. kar. o czym nie wiedziała zapewne władza miejscowa, która na druk ich pozwoliła. Pojedyncze przepisy, wszystkie prawie bez wyjątku, stoją w sprzeczności bądź z kodeksem cywilnym, bądź z rozporządzeniami administracyjnymi. I ten akt samowoli nosi, naturalnie, znamiona umowy dobrowolnej. Taki wspomniany tam nawet o prawie robotnika, o jednym tylko, ale za to doniosłym wielce. Robotnikowi wolno zerwać umowę: 1) jeżeli stanie się niezdolnym do dalszej pracy, 2) jeżeli właściciel lub urzędnik zakładu dopuści się względem niego czynnej obelgi, 3) jeżeli należna mu płaca zostanie zatrzymana. To znaczy, że jeżeli ulegnie kaleczko, jeżeli p. Wiestor zbije go i nie zapłaci mu należnych pieniędzy, robotnik może się oddać z kopalni. Gdyby bowiem wrócił się do sądu ze skargą o zaspokojenie swych pretensyj, pomyślowy zarząd odpowie, że wszelkie reklamacye przedawniają się w ciągu 5 lub 7 dni, na zasadzie § 11 i 13. Nie raz nawet p. Wiestor nie będzie potrzebował bronić się przedawnieniem, ma on bowiem dla siebie § 29, który głosi, że „w razie gdyby roboty w kopalni z powodu jakiegos nieprzewidzianego wypadku przerwane zostały w całości lub częściowo, robotnicy nie mają prawa żądać wynagrodzenia za stracone roboty, mogą jednak wtedy wymagać, aby ich bezwzględnie uwolniono z kopalni.“ Jeżeli więc robotnik pracuje w ciągu dni kilkunastu i potem pracę jego zalewa woda, jeżeli w kopalni wszczął się pożar, górnik nie ma prawa żądać wynagrodzenia za dokonaną pracę, ale może wymagać, żeby go wydłono. Dalej już bezkolowy wyrok i ponowienie prawa ich chyba nie mogą.

Nietylko jednak p. Wiestor, ale i większość fabrykantów łódzkich w stosunku do robotników rządzi się równie oryginalnymi prawami, tak przynajmniej utrzymuje Tydzień, dodając, że nakładanie kar nie ma żadnej miary, do czego przyczynia się ta okoliczność, że pp. dyrektorowie i administratorowie przedsiębiorstw pobierają od świątecznych gryzwin pewien oznaczony i dość znaczny procent. Za najmniejszą winę grozi wydalenie z fabryki lub kara pieniężna, rozumie się, że robotnik wybiera tę ostatnią, a p. dyrektor nie ma nie przeciw takiej zamianie. Nawet nie przychodzący w święto do fabryki lub spóźniający się robotnik wybierając musi między wydaleniem lub karą pieniężną. O nadużyciach tych nie wie zapewne Dziennik Łódzki, lub może kronikarz jego nie chce drażnić ludzi, osiadłych już dawniej między nami i postępujących po obywatelsku. Teraz zresztą nie na dobie byłoby jatrzenie wzajemnych stosunków, kiedy właśnie Niemcy łódzy zrobili krok, a nawet dwa kroki na drodze zbliżenia dwóch narodowości. Błazny w cyrku przemawiający jeszcze do publiczności po niemiecku, ale do swin odzywiają się już po polsku. Donosi o tom Dziennik i równocześnie zaznacza, że straż ogólna po raz pierwszy przysłała zaproszenie do redakcji w języku polskim. P. kronikarz wie-

rzy mi, jak ja wierzę jemu, że nie podkreślał dwuznacznie zestawienia tych dwóch faktów, chociaż oba „biją w jeden punkt.“ Ponieważ p. Sarmatieus posiada krótką pamięć, zwłaszcza o swoich wybrakach, przypomnę mu tu jedynie, że dwuznaczne jego podkreślenia stosowały się nietylko do tego zarzutu, co do którego tłomaczy się teraz. Jeżeli kto ma odwagę „moralną“ rzucić na przeciwnika insynuacye, powinien przynajmniej wytrwać w swej roli, nie zaś nieokazać za plot i stamtąd wymyślać. Dla takiej szemierki istotnie trzeba być już nie ograniczonym, ale bez granic ubogim umysłowo i moralnie.

Korespondent płocki podaje także wiązkę faktów, „zasługujących na szczerze uznanie i skrzętne wyróżnienie.“ Rozumie się, powiedziano to ironicznie. Przeciwnie wysuwaniu w pismach na pierwszy plan ujemnych stron życia społecznego dosyć często dają się słyszeć jego głosy, żądające oświeślenia również stron jasných.

Jest to żądanie niestuszone, gdyby prasa bowiem notowała każdy czyn uczciwy, każdą cnotę cicha, każde spełnienie obowiązku, świadczyło by to, że poziom moralności społecznej stoi nisko, kiedy nawet takie zwyrodniałe rzeczy wydają się potrzebne. Według mego zdania, właśnie pewnego rozprężenia moralności naszej dowodzi ten fakt, że prasa coraz częściej spełnienie obowiązku podnosi do znaczenia zalety. Kronikarz Korespondenta mówi charakterystycznie o tym, że „bardziej charakterystyczne fakty zaznaczamy tu pozbienione.“

W mieście X. (dlaczego ta tajemniczość) pedagog, utrzymujący uczniów na stancyi, przez kilka tygodni karmił ich mięsem z wieśkiego świni, której trupa odkopał i odciął mu łeb, ponieważ tam tylko według zdania uczono go znawcy kryje się jad. O podobnym zdarzeniu pisałem w *Przedwieściu*, tam jednak łeb ucinali i mięso jedli chłopcy, teraz okazuje się, że pomiędzy inteligentną i ludem panuje jeszcze u nas, dzięki Bogu, pewna wspólność poglądów.

Wspólność ta nie wyłącza jednak ścisłego zachowywania różnic stanowych, na których opiera się, jak wiadomo z *Niewy i Słowa*, wszelki porządek społeczny. Pewien zamieszany obywatel (znowu X.) zapowiedział służbę, jak ma przemawiać do niego i rodziny, przy czym szczególnie nacisk położony był na zdumiewającym czapki i dodawanie tytułu „jasny.“ Miał pastuszek zamiast tytułu tego, użył nartowego wyrażenia „proszę jęgomości“, co za obity został i wydłony ze służby.

Trzeci X. wreszcie, także obywatel ziemski, wykazał nadzwyczajną obrotność umysłu, umiając skrzyżować nawet z takich okoliczności, które kto inny uważałby za kłeskę. Na polach jego zamiast pszenicy obrosła bujna mietlica. Człowiek zwyciężony na olwast ton nie zwróciłby uwagi, pomyślowy agronom tymczasem kazał kosić a potem omłócić mietlicę i nasienie jego sprzedadł żydowi, jako nasienie konieczne. Za jednym zamachem spełnił więc czyn podwójnie obywatelski, okpił bowiem żyda, co już samo przez się jest zasługą nie małą, oprócz tego przyczynił się do powiększenia kroniki osnów semickich, rozumie się bowiem, że ów żydek złapany zostanie na sprzedaży mietlicy zamiast konieczny.

Na zakończenie mały przyczynok do wiary chłopiejskiej w cuda. W wczoraj tygodni pociąg z Warszawy w podróż na powietrzną p. Miłoz, aeronauta pociągł się na ziemię około Siedła, balon jednak wymknął mu się i poszybował dalej. Na drugi dzień w okolicy Brześcia przerażeni wieśniacy ujrzeli dziwotwór, którego jedni przypisywali dłu smoka, drudzy do „latających cerkwi“ itd. Wszedł się nie mały pociąg, kilku jednak śmielszych zbliżyło się do balona i zaczęło się mu leknie przyglądać. Rezultatem krótkiego badania

była zupełna zmiana usposobienia widzów, którzy teraz bez trwogi rzucili się na smoka. Coż ich do tego skłoniło? Rzecz drobna, ale dla chłopu niezmiernie wagi, uważni badacze dostrzegli, że z balonu zwieszają się rzemień i kółka mosiężne, tj. to właśnie przedmioty, na które wieśniak, jak sam wyznaje, jest „straśnie łakomy.“ Dosyć było widoku tych skarbów i nadziei zdobycia ich, żeby w umyśle chłopów zaszła radykalna zmiana, smok stracił dla nich wszelką grozę, latająca cerkiew wszelką świętość. Balon został oporzadczony, jak należy; kiedy właściciel jego przybył na miejsce wypadku, zastał tylko strzępy swego powietrznego pojazdu.

J. Nieboraki.

Sosnowiec, w lipcu.

Przedewszystkiem małe spostrzeżenie: W Sosnowcu rodzą się literaci, jak grzyby po obfitym deszczu. Nie ma *Kuryerka* w Warszawie, któryby nie posiadał tu swego „specjalnego“, jak wy tam nazwyczaj, korespondenta; a każdy z tych panów jest obdarzony tak bogatą wyobraźnią i bitym wzrokiem, iż o tem, co niby u nas się dzieje, dowiadujemy się z pism warszawskich.

Pewnego pięknego poranku spotkasz wiadomość w *Kuryerze X.* iż: „Borsig zakupił już ogromne obszary gruntów w Sosnowicach dla założenia filii swoich wielkich warsztatów,“ co mu nawet w głowie nie zawitało.

W piśmie N. czytasz znowu: „Dowiadujemy się, iż tandarmery pruska dała uszną (?) polecenie mieszkalnikom Sosnowca, żeby nie przyjeżdżali do Prus bez awizowanych kartek... od konsula w Warszawie.“

Dalibóg nie wiem, czemu bardziej mamy się dziwić czy tym, którzy podobno rodzaju banialuki wymyślają, czy redakcyom, które im wierzą. Mógłbym wam wyliczyć setki tego rodzaju doniesień, pobudzających nas często do śmiechu, ale bojąc się, bym nie został posądzony o „jalosie de metier,“ przystępuję do rzeczy.

Otóż Sosnowiec, który niedawno jeszcze znajdował się w okresie najwyższego swego rozwoju, któremu tu wszyscy przepowiadali świetną przyszłość na polu handlowem i przemysłowym, ten Sosnowiec, który został okrzyknięty za zlotodajną Kalifornię, za Eldorado, gdzie ludzie bez pracy w krótkim czasie dochodzą do bogactwa — już dziś spoczywa na laurach i nie widzimy ani jednego kroku naprzód. Fabryki nowe nie przybywają, a te, które już istnieją, nie mogą rozwijać swej działalności przez powiększenie lub dobudowanie, gdyż władza wydała w tym względzie zakaz. Dla tej to przyczyny pp. Peltzer z Francji, którzy w Sosnowcu mieli budować warsztaty mechaniczne znacznych rozmiarów, emigrowali byli założycy swe obywatelstwo w Częstochowie. Ten sam los spotkał już kilku innych, chcących to próbować szczęścia, przyszywać. Wstrzymmano również budowanie nowych domów, skutkiem czego powstał brak mieszkań, a cena ich dochodzi do niebyszałej wysokości. Jak długo to ograniczenie potrwa i czy wogóle z czasem rzeczy się zmienią na lepsze? Zależy to podobno od tego, czy Sosnowiec zostanie miastem czy nie. Ale kiedy to nastąpi? Wiemy jedynie tyle, iż władza bardzo gorąco ob projekt powołania, a naczelnik powiatu robi wszystko, co jest w jego mocy, by Sosnowiec zamienił na miasto i raz go wyprowadził z dwuznaczności położenia, w jakim się obecnie znajduje. Faktycznie jest miastem, a prawnie osadą, niemającą żadnych przywilejów, podlegającą zarządowi woja gminy (oddalono go stąd o milę drogi), a pod względem bezpieczeństwa, wobec tak różnorodnej ludności fabrycznej, pozostając pod pieczą kilku policyantów i jednego sołtyza.

Ma to powstać gimnazjum. Spójrz na proletaryat tutaj, na tłum robotcy, zajęty całodzienną pracą około wyżywienia rodziny i niemający żadnych środków ani sposobności do kształcenia swoich dzieci, gdy rozważaj jak walka o byt z każdym dniem staje się bardziej za-

trwającą i jak wobec tej walki o kęs chleba mimowolnie zamierają w czółowiku wszystkie lepsz i cieplejsze uczucia — pytam nierz: cóż wyróżnia z tych dzieci, które tak kręcą się samopas, bez nauki i opieki moralnej?

Szkół więc dajcie jaknajwięcej, gdyż one są dźwignią społeczeństwa!

St. Jer...icz.

PRAŚA ROSYJSKA.

Świat zamieszka ciekawą korespondencję z gubernii wileńskiej, autor której p. Żurawski pisze:

Wśród katolików na Litwie zrodziło się odczepiństwo, wobec którego sztundym rosyjski jest drobnotak. W wielu miejscach lud poczęł obywać się bez duchowieństwa i sam sprawuje po swojemu obrzędy. Grzebią bez księży i nie na cmentarzach parafalnych, lecz na wybranym miejscu po za wsią; grzebią przytem o ile można uroczysto: śpiewają pieśni świąteczne, niosą zapalone świece, dają na podzwonne. Jeden zaś, niby duchowny, poprzedza trumny. W kościołach, przed wyjściem mszy, zwłaszcza w wielkie święta, lud gospodarzy w najlepsze; śpiewają co zechcą, to znów krótkowiel, jakoby ksiądz z kazalnicy, czyta na cały głos dla zebranych jakąś starożytną, ulubioną modlitwę. Bywa tak netylko po wieściach, gdzie brak duchowieństwa, lecz nawet w takich miastach, jak Wilno. Tam zaś, gdzie nie masz w pobliżu kościoła, powstają domy modlitwy, gdzie wygłasza ofiarowania chleba i wina, całą mszę odprowadzając, i to w języku polskim; toczą się rozmowy poboczne o potrzebach współparafian, jak to bywało za pierwszych wieków chrześcijaństwa. Trzeba być ślepy, aby nie widzieć, że jeżeli nie będą przedsiębiorcy środki stanozące, odpowiadające celowi, wówczas ten znaczący objaw wypłyne w sposób nieprzewidywalny i niespodziewany na katolików na Litwie i na cały ustrój społeczno-państwowy. Rzym oceni, jak przystoi, to zjawisko, poruszy do walki z odczepiństwem cały arsenał jezuitów, to zaś dla kraju i państwa może przynieść jedynie szkodę. Jeżeli zaś to nie nastąpi, naówczas ujrzymy rychły koniec katolicyzmu w kraju tutejszym. Jak wszakże będzie działała machina państwowa wtedy, gdy religia ochroni się pod strzechy chałup, gdy masę, wyzwoliwszy się pod względem religijnym, pójdą dalej po tej drodze, co byłoby rozciąga naturalną? Zaisła, kwestya to państwa, do której rozstrzygnięcia potrzeba koniecznie znać przyczyny objawów, o których mowa."

KRONIKA BIEŻĄCA.

Opera p. A. Minchejmera p. t. *Masepa*, dotychczas nie grana u nas wcale, przedstawiona będzie w Antwerpii.

Decyduj z opłat za akta notaryalne, użyte będą na powiększenie pensji urzędników sądowych, dotychczas przelewano je na rzecz kas miejskich.

Naczelnik biura statystycznego dla Królestwa mianowany został p. Simonenko, profesor uniwersytetu.

Mianowanie. Prof. M. Nencki mianowany został rektorem uniwersytetu w Bernie.

Towarzystwo łowieckie zawiązuje się w Warszawie.

Sprostowanie. Wiadomość o niedopuszczeniu Izraelitów do zajęć w kancelarych władz sądowych okazała się fałszywą.

Ogród zoologiczny otrzymał w darze od p. Kiekiej zbiór złożony z 400 okazów ptaków krajowych; zbiór ten ma być zawiązką gabinetu zoologicznego.

Kara. Wraz. Dziennik podaje wiadomość, że dwie parafie katolickie w gubernii grodzieńskiej, w Świdzianach i Granowie zgłosiło, przepraszając parafianom oszcz-

niłono przyczyny, które skłoniły władzę do tego postanowienia. Winny okazał się ksiądz, który podtrzymał w uporze b. ułtów.

Archiwum centralne w Wilnie posiada obecnie 17,767 ksiąg, w których znajduje się madostwo cenachy dla nauki i nienanych jezarsze historykom dokumentów.

Tunel. Roboty przygotowane do przekopania tunelu pod cieśniną masyką już rozpoczęto. Tunel ma być ukończony w ciągu lat czterech.

Władza niemiecka po swojemu uczciła jubileusz znakomitego pisarza Gustawa Freytaga, zawiadamiając go o znacznym podwyższeniu płaconego przezeń podatku dochodowego.

Pismo francuskie. Niejaki p. La Verrière wolał podanie do zarządu prasy o pozwolenie wydawania pisma w języku francuskim w Warszawie lub w Wilnie.

Handel ludźmi. Prasa łwowska i wileńska zamieszcza ciekawe szczegóły o handlu młodemi dziewczętami, który w ostatnich czasach przybrał w Galicyi szerokie rozmiary. Żydy, którzy zajmują się tym handlem sprzedają młode dziewczyny głównie do Ameryki południowej. Istnieją specjalne agencje w tym celu, zarówno w Galicyi, jak i na miejscu zbytu.

Poręczenia fikcyjne. Wkrótce ogłoszone zostaną przepisy, zapobiegające dowolnemu przenoszeniu spraw do niewiadomych okręgów i rewirów sądowych, za pomocą przypisania fikcyjnych solidarnych poręczycieli. Nadytyć to praktykują one na szeroką skalę u nas, gdyż art. 204 Kod. Napoleona pozwala realnie osobie trzeciej nawet bez wiadomości i zgody dłużnika.

Nowe prawo. Prawit. Wiestnik ogłasza nowe prawo, dotyczące rodziny cesarskiej. Tytuł Jego Wysokości może nosić tylko synowie, wanczy i prawnicy cesarstwa, imi książęta używać są będą Jego Świątobliwość księża księstwa. Upokorzenie osób, należących do rodziny cesarskiej znacznie zmniejszono. Wreszcie odwołano członkom domu pańskiego wstępować w związki małżeńskie z osobami innych wyznań.

Strażasz śmierci. Trzech więźniów w Charkowie skazanych zostało za zabójstwo towarzysza na dotychczas roboty ciężkie i go uderzeń piał. Jeden ze skazanych, Osadczenko kary nie wytrzymał i skonał pod batami.

Zmarli. Junggreen, patryota duński, poseł ze Szwecji do parlamentu niemieckiego.

Max Ducker znakomity historyk i publicysta niemiecki.

Karol Pilot, sławny malarz, dyrektor Akademii sztuk pięknych w Monachium.

Feliks Sztajner, aptekarz, wice-prezes Towarzystwa farmaceutycznego, autor wielu prac w zakresie swej specjalności.

OFIARY.

Na wpis dla ucznia. Taraszkiewicz z Stamborówki kop. 50. Zebrane na Imieninach p. J. O. M. za pośrednictwem p. Józefskiego od X. Y. z Kijowa rs. 7 kop. 50.

Dla studentów Uniwersytetu warszawskiego. Zebrane na Imieninach p. J. O. M. za pośrednictwem p. Józefskiego od X. Y. z Kijowa rs. 7 kop. 50.

Dla nędzy wyjątkowej. Kijowska z Głębokiego rs. 2.

Do rozporządzenia redakcji. Od U. D. N. rs. 32; W. Kopużyński z Dorpatu rs. 6 kop. 70.

Na kasę imienia Mianowskiego. Dr Adam Rodziewicz z Tyrszola rs. 5.

Dla pogorzelców Grodna. Jt. W. rs. 2.

Ogłoszenia.

SPÓŁKA NAKŁADOWA

poleca następujące wydawnictwa swoje:
Chmielowski Piotr dr. Autorki Połocki wieku XIX, studjum literacko-obechnawo, ozdobione sześcioma portretami, str. 541 rs. 2 kop. 50.

Jerzy Brandes: Główne prądy literatury europejskiej XIX w. Tom V. Szkoła romantyczna we Francyi, z portretem autora str. 402 rs. 2.

Herbert Spencer: Zasady etyki, z 3-go wydania oryginalna angielskiego przełożył Jan Karłowicz rs. 2.

Świątobko. Książka dla dzieci, napisana zbiorowo przez grono wybitniejszych pisarzy polskich, w ozdobnej oprawie, z drzeworytami w tokcie rs. 1 kop. 80.

Prus Bolesław (Aleksander Głowacki) Skieio i Obraski, tomów cztery z portretem autora rs. 5.

W ozdobnej oprawie rs. 6 kop. 20; z przysługą rs.

Smoleński Władysław. Drobną Słacheta w Królestwie Połackim, studjum etnograficzno-społeczne kop. 60.

Stanisław Krąmstyć: O postaci i ciężarze ziemi kop. 50.

Biuro i ekspedycja Spółki Nakładowej: Warszawa, Złota 23.

Wielki medal srebrny.	LAKIERY I FARBY	Cemiki francie i grabi.
	polecają	
	ZAKŁADY PRZEMYSŁO-CHEMICZNE	
	W. KARPINSKI & W. LEPPERT w Warszawie, Elektoralna 37.	

18—24

Nakładem Prawdy wyszło ilustrowane dzieło słynnego badacza angielskiego J. E. Taylora p. t.:

ZMYŚLNOŚĆ I MORAŁNOŚĆ ROŚLIN

w przekładzie J. K. Potockiego.

Książka ta, która liczy zaledwie parę miesięcy a już zapowiadana jest w przekładach na kilka języków europejskich, w mistrzowski sposób, w niegwałtownych ściśłości naukowej upodobnienach stosunków roślinnych do ludzkich popularyzuje prawdy i najnowsze odkrycia botaniczne, otwierając najmniej przygotowanym nowy a uroczy świat zjawisk.

Treść: Przebiegłość kwiatów.— Ich dyplomacya.— Gra w chowanego.— Obrona nie zaczepka.— Współdziałalność.— Społeczne i państwowe gospodarstwo roślin.— Ubóstwo i bankructwo.— Rabunek i morderstwo.— Odwrotna strona medalu.— Geograficzne rozpowszechnienie roślin.

Cena (w gustownej oprawie) rs. 2; dla abonentów naszych, rs. 1 k. 50.

Zwracający się z zadaniami bezpośrednio do naszej Administracji kosztów przesyłki pocztowej nie ponoszą.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdym opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłano jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.